

Wojskowe Szkoły  
Junaków – mało  
znany rozdział  
najnowszej historii  
Polski



Gen. Władysław Sikorski z wizytą w Heliopolis, w maju 1943, zaledwie na dwa miesiące przed tragiczną katastrofą w Gibraltarze. Źródło: Archiwum Muzeum Orlińskiego – Album Kozińskiego.

## **Prof. Adam Czesław Dobroński**

### *Muzeum Wojska w Białymstoku*

Tom napisany przez Henry Radeckiego, Polaka mieszkającego od powojnia w Kanadzie, jest opracowaniem oczekiwanym i oryginalnym. Tytuł *Młodzież Andersa* brzmi nieco tajemniczo, ale podtytuł nie pozostawia wątpliwości. Otrzymaliśmy książkę o polskich szkołach junaków i młodszych ochotniczek, którzy wydostali się z Rosji sowieckiej po zawarciu 30 lipca 1941 r. układu Sikorski-Majski. Przeżyli oni dramatyczny czas wywózek z domów rodzinnych, potem wegetowania na odległych

obszarach imperium stalinowskiego, zmagania o przetrwanie. Po tak zwanej amnestii zdołali dotrzeć do obozów wojsk polskich gen. Władysława Andersa i dzięki mądrej decyzji przyszłego dowódcy 2 Korpusu Polskiego otrzymali szansę podjęcia nauki. Mieli za dużo lat, by wyjechać do osiedli urządzanych dla dzieci i ich opiekunów (głównie matek) w Australii, Indiach, Meksyku, Nowej Zelandii oraz w kilku rejonach Afryki, ale za mało, by zasilić „z marszu” oddziały wojskowe. Wojsko ich jednak przygarnęło, pomogło w ewakuacji z „kraju niewoli”, zadbało o zrazu trudne, potem znośne, a z czasem dogodne warunki bytowania, stopniowo także o kadrę wykwalifikowanych nauczycieli i wychowawców, z większymi trudnościami również o pomoce szkolne. Jedyne to było takie – unikalne – przedsięwzięcie w okresie II wojny światowej, godne przypominania. Podobnie, jak jedyne na wielką skalę było tajne nauczanie w okupowanej Polsce.



Naoczny świadek bitwy pod Monte Cassino, korespondent wojenny Wiktor Ostrowski przekazuje swoje doświadczenia młodym lotnikom z Heliopolis. Czerwiec 1944. Źródło: Archiwum Muzeum Orlińskiego - autor.

Powstała sieć kilkunastu szkół: łączności – na ich absolwentów czekały niecierpliwie oddziały frontowe, junackich mechanicznych – najliczniejszych, też ściśle powiązanych z wojskiem, w tym czterech gimnazjów i jednego liceum, młodszych ochotniczek –gimnazjalistek i licealistek zasilających Pomocniczą Służbę Kobiet, Gimnazjum i Liceum Lotniczego („Błękitni chłopcy”) – pozostającego pod opieką dowództwa Royal Air Force (RAF), Junackiej Szkoły Kadeckiej – wzorowanej na przedwojennym Korpusie Kadetów, z naciskiem na wiedzę i umiejętności wojskowe, szkół powszechnych – młodszej i starszej, przygotowującej chętnych do szkół zawodowych i

gimnazjów, Junackiego Gimnazjum Kupieckiego - kształciło młodzież z myślą o zasileniu kadr handlowych w wolnej Polsce oraz innych jeszcze placówek i kursów. Poza wymienionymi szkołami, którym Henry Radecki poświęcił oddzielne rozdziały, wspomnieć należy jeszcze o Junackim Liceum Drogowym, szkołach powszechnych połączonych z zawodowymi oraz Gimnazjum Kupieckim i Liceum Pedagogicznym dla młodszych ochotniczek. Z przyczyn obiektywnych nie jest możliwym równie dokładne opisanie wszystkim tych form edukacji, szkół ulokowanych w różnych miejscowościach, często reorganizowanych, otwieranych i zamykanych w różnych latach, zainicjonowanych jeszcze na południu ZSRS (Karkin Batasz, Guzar i Kitabu, Kermine, Wrewskoje).

Szkoły junaków i młodszych ochotniczek wykazywały się ambicjami i osiągnięciami w zakresie zdobywania wiedzy, przygotowywania wychowanków do służby wojskowej, kreowania wydarzeń kulturalnych, organizowania zajęć pozaszkolnych i zawodów sportowych, pożytecznego i przyjemnego zarazem spędzania czasu wolnego, poznawania atrakcyjnych okolic i starożytnych zabytków. Starano się możliwie jak najlepiej, opieką niemal matczyną i ojcowską otoczyć ofiary wojny. Wzruszają i dzisiaj opisy przejawów patriotyzmu w warunkach stałej tęsknoty za wolną Polską, komplikującej się sytuacji politycznej w świecie, narastającego niepokoju, co przyniesie jutro. Szkoły junackie mogły na Środkowym i Bliskim Wschodzie realizować założone

cele, pomagały im w tym rozliczne organizacje (przykładem ZHP, „Sodalicia Mariańska”), zrozumienie i życzliwość wykazały władze brytyjskie. Młodzi z radością witali przedstawicieli Rządu Polskiego i Wojska Polskiego, osoby duchowne, gości budzących nadzieję w sercach, opowiadających o ukochanej ojczyźnie. Sami zaś wzbudzali sympatię wśród miejscowej ludności cywilnej, zadziwiali swą dzielnością, uczynnością, głęboką wiarą. To oczywiste, że pojawiały się i rozliczne trudności, dochodziły także złe wieści, odzywały się dokuczliwości sieroctwa, nawroty chorób.

Henry Radecki postarał się, by zawrzeć w swym tomie bogaty zestaw faktów, co nie było ani łatwe ze względu przede wszystkim na braki źródeł, zaginięcie skrzyń z dokumentami przejętymi przez władze brytyjskie. Autor powracał wielokrotnie do najważniejszych jego zdaniem danych liczbowych, dat i nazwisk, schematów organizacyjnych i wniosków. Czynił to kierując się pragnieniem, by czytelnicy w Polsce dobrze zapamiętali niezwykle dzieje wyjątkowych szkół, wczuli się w tamte realia i marzenia, radości i smutki. Radecki dodał – co bardzo ważne – oryginalne oceny i szacunki, które częściowo różnią się od dominujących w Polsce. Ale i w kraju utrzymują się przecież rozbieżności, na przykład odnośnie liczby obywateli II RP (nie tylko narodowości polskiej) wywiezionych w latach 1939-1941 przez okupantów sowieckich, także procentowych szacunków osób zmarłych i zaginionych na „niehumanitarnej ziemi”.

W trakcie prac redakcyjnych postanowiliśmy pozostawić niektóre terminy utrwalone w środowiskach emigracyjnych (przykładem kampania wrześniowa 1939 r.), jak najmniej ingerować w styl narracji autora, w pierwotny układ książki.



Wizyta zespołu teatralno-kabaretowego w Heliopolis. Źródło: Archiwum Muzeum Orlińskiego – Album Kozińskiego.



Niespodziewany wylew Nilu zatopił obóz w Heliopolis. Ucierpiały namioty sypialne, ale uratował się dwupłatowiec. Źródło: Archiwum Muzeum Orlińskiego – autor.

Tom ten ma charakter monografii, ale jest jednocześnie i dokumentem, powstawał długo i sędzę, że pozostanie ostatnią publikacją napisaną przez polskiego junaka czasów II wojny światowej. Autor utrzymywał przez dziesięciolecia więzi z koleżankami i kolegami z opisywanych szkół, prowadził ofiarnie poszukiwania materiałów, gromadził pamiątki historyczne. Pisząc książkę wykorzystywał zebrane relacje i odnalezione dokumenty, opracowania (głównie emigracyjne) i artykuły prasowe, także jednak wplatał w tekst własne refleksje. H. Radecki dołączył do junaków w kwietniu 1942 r., przebył szlak od opuszczenia Związku Sowieckiego przez Persję (Iran), Palestynę do Egiptu. Nie powrócił do Polski, za to aktywnie uczestniczył w życiu emigracji i nadal opiekuje się „Pokojem

Andersa” w Wawel Villa w Mississaudze, części wielkiego Toronto. To tam zrodziła się przed rokiem myśl wydania tej książki przez Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie we współpracy z Muzeum Wojska w Białymstoku.

Absurdem byłoby streszczanie zawartości *Młodzieży Andersa*, natomiast chciałbym wskazać na wydane w Polsce opracowania dotyczące szkół junackich. Było ich nie tak wiele, często nie obejmowały wszystkich wątków, ale warto po nie sięgać. Żyjący w kraju byli uczniowie i wychowankowie szkół junaków i młodszych ochotniczek też w miarę możliwości podtrzymywali kontakty między sobą, co stawało się coraz łatwiejsze od lat siedemdziesiątych XX stulecia. Ich dzieje wplotły się w legendę Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, ta nabrała blasku po 1989 r.

Z pozycji najdawniejszych, wydanych jeszcze w PRL, należy wspomnieć opracowanie Tadeusza Bugaja: *Obozy i szkoły junackie dla młodzieży polskiej na obczyźnie w latach 1941-1947* („Prace Karkonoskiego Towarzystwa Naukowego” 1979, nr 13) oraz Witolda Lisowskiego: *Polskie korpusy kadetów 1765-1956. Z dziejów wychowania*” (Warszawa 1982 r.; tenże autor opublikował artykuł o kadetach na łamach „Wojskowego Przeglądu Historycznego”, 1987, nr 3). Znacznie szerzej temat swej książki zakreslił Jan Draus: *Oświata i nauka polska na Bliskim i Środkowym Wschodzie 1939-1950* (Lublin 1993). Mniej

lub bardziej rozbudowane informacje o szkołach junaków i młodszych ochotniczek podawali autorzy monografii Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, a przykładem może być tom Piotra Żaronia: *Armia Andersa* (Toruń 2000). Materiał o szkołach junackich w Nazarecie i Barbarze zawiera także album *Tułacze dzieci* (Warszawa 1995).



Uczennice Gimnazjum Kupieckiego witane przez dyrektora oddziału banku PKO (Pocztowa Kasa Oszczędności) w Tel Awiwie. Hebrajski napis świadczy, że bank służył przedwojennym polskim emigrantom żydowskiego pochodzenia. Źródło: Archiwum Muzeum Orlińskiego – autor.

W 2001 r. ukazał się pierwszy z trzech tomów o wspólnym podtytule: *Szkolnictwo i oświata polska na Zachodzie w czasie II wojny światowej*. W tym inauguracyjnym tomie: *Przez burze pod wiatr* (red. T. Zaniewska, Białystok 2001) znalazły się między innymi teksty: Adama Czesława Dobrońskiego o Junackim Gimnazjum Kupieckim, Marii Radomskiej o szkole junaczek i szkołach młodszych ochotniczek w Armii Polskiej na Wschodzie a także Stefanii Walasek o dziejach szkół na Bliskim i Środkowym Wschodzie oraz w Afryce (zarys problematyki). Tom następny: *Światło wśród burzy* (red. T. Zaniewska, N. Pospieszny, Z. Stankiewicz, Białystok 2004) zawierał artykuł A. Cz. Dobrońskiego o III Junackiej Szkole Mechanicznej i przedruk artykułu W. Lisowskiego o Junackiej Szkole Kadetów (1942-1948). Natomiast tom III nosił tytuł: *Nauczyciele-uczniowie. Solidarność pokoleń* (red. T. Zaniewska, Warszawa 2007) i pomieścił artykuły: A. Cz. Dobrońskiego o obozach letnich dla młodszych ochotniczek oraz Ewy Romanowskiej o rozwoju sportu w polskich szkołach junackich na Bliskim Wschodzie w świetle kronik „Junaka”.

W 2007 r. w nr 32 „Zesłańca” (kwartalnik ZG Związku Sybiraków) Wojciech Narębski opublikował tekst: *Generał Władysław Anders – opiekun młodzieży żołnierskiej*, a M. Radomska: *W 65. rocznicę rozkazu gen. Władysława Andersa o utworzeniu szkół junaczek i junaków w ZSRR*. Rok później ukazała się pozycja: *Polskie dzieci na tułacznych szlakach*

1939-1950 (red. J. Wróbel, J. Żelazko, Warszawa 2008).



Pamiętna wizyta: Polki z Amerykańskiego Czerwonego Krzyża przyjechały z darami dla młodzieży, przywożąc ręczniki, skarpetki i słodycze. Heliopolis, kwiecień 1944. Źródło: Archiwum Muzeum Orlińskiego – autor.

Za cenne, ostatnio wydane książki, można uznać opracowania między innymi Jacka Pietrzaka: *Polscy uchodźcy na Bliskim Wschodzie w latach drugiej wojny światowej. Ośrodki, instytucje, organizacje* (Łódź 2012); Marka Ney-Krwawicza: *Na pięciu kontynentach. Polskie dzieci i młodzież na tułacznych szlakach 1939-1950* (Warszawa 2014); Edyty Sadowskiej i Beaty Urbanowicz: *Edukacja historyczno-kulturalna w szkołach*

*junaków i młodszych ochotniczek (1941-1948)* (Częstochowa 2015). Przybyło również artykułów, w tym na tematy wykraczające poza oświatę junaków i młodszych ochotniczek, czyli o szkołach działających przy 3 Dywizji Strzelców Karpackich („Szkoła Karpacka”) i 5 Kresowej Dywizji Piechoty oraz kursach maturalnych dla żołnierzy oraz ochotniczek z Pomocniczej Służby Kobiet, a także o szkołach dla młodzieży polskiej powstałych po wojnie we Włoszech i Wielkiej Brytanii.

Można mieć nadzieję, że odnajdą się jeszcze materiały źródłowe do dziejów szkół junackich w archiwach, muzeach, zbiorach prywatnych i to zarówno w Polsce, jak i w środowiskach emigracyjnych. W zasobach Instytutu Polskiego i Muzeum Sikorskiego w Londynie znajdują się dość liczne dokumenty, kroniki i relacje. H. Radecki korzystał z tych zasobów, starałem się i ja je penetrować, a wysiłki te należy kontynuować. Przykładowo wskazać można na kronikę z I Letniego Obozu Wypoczynkowego dla Szkół Junackich w Sidi-Bishr (przedmieście Aleksandrii), zorganizowanego latem 1944 r. (sygn. C.388). Umieszczono w niej kopię listu gen. W. Andersa z 22 lipca:

Zakończyliśmy zwycięską bitwę pod Ankoną, bijąc się o nią biliśmy się o Polskę. Wierzimy, że pomimo wszystko wykończymy w rezultacie choć kolejno wrogów naszej Ojczyzny...



Szczęśliwi, już prawie junacy. Źródło: Archiwum Muzeum Orlińskiego - Junacka Szkoła Kadetów.

Generał podziękował „kochanym Dzieciom” za „tak bardzo drogą” dla niego pamięć i za listy. Ciekawe są opisy obozów letnich młodszych ochotniczek urządzonych w 1945 r. w Atlicie koło Hajfy, Barbarze, Jerozolimie, Nazarecie i w Ośrodku Uzdrawieńczym w Tyberiadzie (turnusy lecznicze). Stacja Uzdrawieńcza dla uczniów powstała w lutym 1943 r., posiłki wydawano tu pięć razy dziennie, przeprowadzano badania lekarskie, obowiązkowe było leżakowanie, wyjeżdżano na kąpiele zdrowotne siarczane i solankowe. Wychowawcy zapoznawali młodzież z dziejami Ziemi Świętej, prowadzili zajęcia z geografii i historii Polski. Każdy kolejny turnus prezentował przedstawienia teatralne, podtrzymywano więź z osobami duchownymi z

okolicznych parafii i zakonów, powiększał się księgozbiór biblioteki, pięknie prezentowała się świetlica (sygn. C 309).

Powstaje pytanie, co można jeszcze zrobić, by skuteczniej spopularyzować szkoły junackie, dowieść ich wyjątkowości? Najłatwiej byłoby opracować i wydać album z uwzględnieniem przynajmniej najważniejszych typów szkół, pokazaniem warunków w jakich one pracowały, zajęć nie tylko szkolnych, składu osobowego kadry i grup uczniowskich. Utrudnieniem w tym dziele będzie fakt, że znaczna część zachowanych fotografii nie została dokładnie opisana, różna jest też ich jakość. Bardziej pracochłonnym zadaniem będzie zestawienie najważniejszych dokumentów do dziejów szkolnictwa polskiego na Środkowym i Bliskim Wschodzie. Czy można jeszcze liczyć na odzyskanie wspomnianej, utraconej dokumentacji z 41 skrzyń? Okaże się to po dodatkowych kwerendach w archiwach brytyjskich. Do wspomnień wydanych już drukiem trzeba dodać relacje przechowywane w archiwach i zbiorach prywatnych, ale czy to wystarczy na napisanie tomu o dalszych losach „młodzieży Andersa”, ich adaptacji w różnych krajach świata, również w Polsce? Autor takiej publikacji musiałby postawić pytanie, na ile wiedza zdobyta w szkołach junackich pomogła wychowankom w ich życiu dorosłym, w ich karierach zawodowych. Jeszcze trudniejsze pytanie brzmi: czy programy nauczania, zwłaszcza realizowane w omawianych szkołach pod koniec wojny i po jej zakończeniu, były dostosowane do zmieniającej się

rzeczywistości politycznej, która praktycznie zamknęła junakom i młodym ochotniczkom drogę do Polski? Bardziej jednoznacznie wypada ocena wysiłków kształtowania charakterów tej społeczności, jej postawy patriotycznej i obywatelskiej. Tej kwestii wiele uwagi poświęcił również H. Radecki.

W latach 1943-1946 szkołę odwiedziło wielu dostojnych gości – generałowie Władysław Sikorski, Kazimierz Sosnkowski, parokrotnie Władysław Anders, pułkownicy Iżycki i Bobrowski, ministrowie Strasburger i Zazuliński, biskup polowy WP J. Gawlina i wielu innych. Szczególnie częstym gościem był opiekun szkoły gen. Ludomił Rayski, dowódca Polskich Sił Powietrznych na Środkowym Wschodzie. Z okazji tych wizyt w obozie organizowano defilady, podczas których uczniowie przemarszem w dwóch kompaniach przed trybuną honorową oddawali cześć wizytującemu ich Wódzowi Naczelnemu i innym przedstawicielom kadry dowódczej WP oraz wyższym oficerom alianckim.

Визит генерала  
Людмила Райского  
и других полковников  
и офицеров польской  
авиации - перед  
нашим полком.  
28. V. 45

Wpis gen. W. Sikorskiego do  
kroniki młodych lotników.  
Źródło: Archiwum Muzeum  
Orlińskiego – Błękitni  
chłopcy...



Wpis gen. W. Sikorskiego do kroniki młodych lotników. Źródło: Archiwum Muzeum Orlińskiego – Błękitni chłopcy.

Apetyt rośnie w miarę jedzenia. Podziękujmy autorowi za jego cenne dzieło, przeczytajmy je starannie i miejmy nadzieję, że po upływie 70 lat od zamknięcia tej pięknej karty oświaty polskiej

będą kontynuowane badania nad szkołami junaków i młodszych ochotniczek. Trzeba koniecznie dołożyć starań, by trwale upamiętnić pokolenie „młodzieży Andersa”.

**Fotografie pochodzą z książki „Młodzież Andersa”.**

*Posłowie prof. Adama Dobrońskiego do książki Henry Radeckiego „Młodzież Andersa. Wojskowe Szkoły Junaków 1941-1947”.*

---

# Świadectwo pamięci

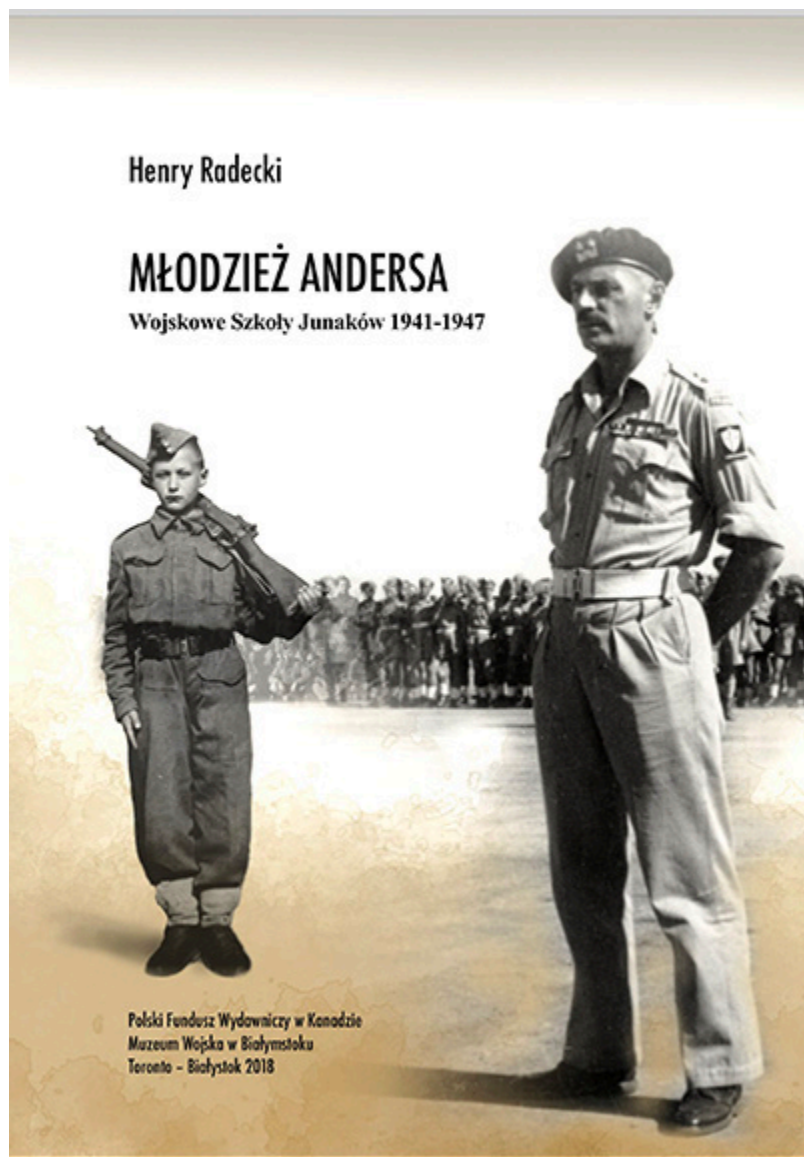


Pierwsze miesiące gimnazjum w Heliopolis, jeszcze w mundurach junackich. Obok w murowanym budynku znajdowały się klasy szkolne. Marzec 1943. Źródło: Archiwum Muzeum Orlińskiego – Album Kozińskiego, fotografia z książki „Młodzież Andersa”.

## **Edward Zyman** (*Toronto, Kanada*)

Na polskim rynku księgarskim ukazała się kolejna pozycja Polskiego Funduszu Wydawniczego w Kanadzie wydana w koedycji z Muzeum Wojska w Białymstoku. Jest nią tom Henry Radeckiego *Młodzież Andersa. Wojskowe Szkoły Junaków 1941-1947*. Jej autor, emerytowany profesor socjologii, wykładowca kilku uniwersytetów kanadyjskich, był junak, kadet, absolwent Gimnazjum i Liceum Lotniczego w Heliopolis w Egipcie oraz aktywny działacz kanadyjskiej Polonii, napisał książkę ważną i potrzebną. Cenniejszą tym bardziej, że stanowi nie tylko zapis uczonego oparty na wielu trudno dostępnych dziś źródłach, lecz także przekaz świadka, znającego opisywany przedmiot z autopsji.

Dla Polaków – czytamy we wstępie – lata 1939-1945 pozostają ciągle fascynującym okresem; heroizm i tragedia uczestników kampanii wrześniowej i późniejszych walk na wielu frontach świata, dramatyczne historie bitew na morzu, w powietrzu i na lądzie, życiorysy mężów stanu, dowódców i żołnierzy, kryjące wiele tajemnic sprawy polityki i dyplomacji tamtych czasów wciąż inspirują historyków i politologów, pisarzy i filmowców. Mimo obszernej literatury naukowej, setek tomów pamiętników i wspomnień uczestników II wojny światowej, więźniów obozów koncentracyjnych, zesłańców deportowanych przez władze Związku Sowieckiego z Kresów Rzeczypospolitej w głąb niehumanitarnej ziemi, a także mimo wielu ważnych dla naszej pamięci historycznej dzieł literackich, jest w dramatycznej historii Polski XX wieku temat, któremu poświęcono dotychczas nieproporcjonalnie mało uwagi. Tematem tym są powołane pod koniec 1941 roku przez dowództwo Wojska Polskiego w Związku Sowieckim Wojskowe Szkoły Junaków (i Junaczek, później Młodszych Ochotniczek), które rozpoczęły tam swoją działalność i rozwinęły się w pełni podczas wojny na Środkowym Wschodzie.



O fenomenie tego, bezprecedensowego w dziejach II wojny światowej zjawiska, pisze sugestywnie w posłowniu prof. Adam Dobroński. Znany badacz stwierdza m. in., że być może książka Henry Radeckiego jest ostatnią publikacją tego typu, którego autorem jest junak II wojny światowej. Niestety, biologia ma swoje prawa. Pokolenie największego kataklizmu XX wieku schodzi z dziejowej sceny. A wraz z nim odchodzą świadectwa zachowane w pamięci jej świadków. Pozostaną dokumenty utrwalone w postaci artykułów, rozpraw, wspomnień, książek.

*Młodość Andersa* jest takim właśnie dokumentem, którego wagi i znaczenia przecenić nie sposób.

*Posłowie prof. Adama Dobrońskiego ukaże się w piątek 17 maja 2019 roku.*

---

**Artykuł Henryka Radeckiego o Muzeum im. Bolesława Orlińskiego w Kanadzie:**

<https://www.cultureave.com/muzeum-im-boleslawa-orlinskiego-w-kanadzie/>

---

# Józef Piłsudski

# nad Przemszą i Brynicą



Pomnik Józefa Piłsudskiego w Katowicach.

**Włodzimierz Wójcik**

Przed Urzędem Wojewódzkim w Katowicach (przy ulicy Jagiellońskiej) stoi na postumencie pomnik Józefa Piłsudskiego przedstawiający postać Komendanta z szablą w dłoni, jadącego na rumaku. Pomnik został wykonany pod koniec lat międzywojennych w Zagrzebiu w Chorwacji przez wybitnego rzeźbiarza Iwana Mestrovicia (1883-1962), którego liczne dzieła, jak wiadomo, cechuje ekspresja, stylizacja, monumentalizm. Ufundowany ze środków zebranych przez społeczeństwo śląskie monument musiał przez kilkadziesiąt lat czekać w obrębie zagrzebskiego muzeum na sprowadzenie go do kraju.

Druga wojna światowa, a potem system rządów w Polsce, źle oceniających postać Marszałka i jego historyczny czyn, odwlekły sprawę na długi czas. Dopiero w klimacie rodzenia się i krzepnięcia Trzeciej Rzeczypospolitej w katowickim pejzażu pojawił się, po niezbędnej renowacji, uwieczniony w brązie ten, który „jedzie, jedzie na kasztance”... „Pieśń o Wodzu miłym” Wacława Kostka-Biernackiego (z muzyką Zygmunta Pomarańskiego) ciągle żyła w pamięci Polaków wielu pokoleń, podawana w wielu rodzinnych domach z ust do ust. Gloryfikowała „siwy strzelca strój”, ubranych w szare kurtki i czapki maciejówki „młodych strzelców rój” i przeciwstawiała im błyskotki i złocenia mundurów noszonych przez oficerów i generałów państw zaborczych. Pod „szarą bluzą” Komendanta czy Brygadiera dostrzegała „serce ze złota”.

Mestrović w swoim dziele respektował polskie wyobrażenia „szarego żołnierza”. W jednym się jednak z nich wyłamał. „Kasztanka”, autentyczna, ulubiona klacz Piłsudskiego, pozostała w pieśni, zaś „miły Wódz” w wizji chorwackiego twórcy jedzie na monumentalnym ognistym rumaku, koniu bojowym, który pojawiał się od wieków na pomnikach wielkich postaci historycznych. Cóż, *Licentia poetica*... Prawa sztuki trzeba respektować.

Piłsudski źle widziany przez oficjalne władze po 1945 roku żył przecież bezustannie w narodowej świadomości jako uosobienie wartości wyższego rzędu. Historyczną wiedzę o jego roli w życiu narodu upowszechniali w domach rodzinnych ludzie starszego pokolenia, w szkołach nonkonformistyczni nauczyciele, literaci i publicyści, których teksty funkcjonowały w „drugim obiegu”. Z tą merytoryczną wiedzą zespolona była wyjątkowo silnie barwna legenda, której blask opromieniał postać Brygadiera niemal od początków naszego stulecia. Powstała ona, ewoluowała i przekształcała się głównie za sprawą literatury, ale także za sprawą różnego rodzaju dzieł plastycznych (rysunek, portrety olejne, rzeźba, znaczki pocztowe, pocztówki, medalierstwo itp.).

O Józefie Piłsudskim z podziwem pisali nie tylko twórcy, którzy za jego sprawę szli w bój, ale także jego oponenti polityczni oraz ludzie, którzy znali go poniekąd z „wieści gminnej”, z obiegowych relacji... piękne strofy o nim układali nie tylko znani

poeci, ale także żołnierze-amatorzy marznący w okopach. Z poszczególnych konterfektów literackich bohatera – kreowanych zarówno w dziełach wybitnych, jak i drugo- i trzeciorzędnych powstawało zbiorowe wyobrażenie Piłsudskiego jako postaci legendarnej. W różnych fazach dwudziestowiecznej historii Polski i w różnych fazach biografii Piłsudski stawał się uosobieniem rozmaitych ideałów i wartości drogich Polakom.

Mamy więc Piłsudskiego jako „człowieka podziemnego”, socjalistycznego bojownika przeciwko caratowi. Tak go widział Gustaw Daniłowski w powieści „Z minionych dni”. W końcowej fazie jego działalności jawił się jako tajemniczy Mocarz, Wódz, Achilles, Prometeusz (wiersze Leona Rygiera, Kazimierza Przerwy-Tetmajera); w fazie formowania Legionów stawał się „szarym żołnierzem”, prowadzącym na bój przeciw Moskalom „szarych żołnierzy” w „szarych maciejówkach” (utwory Alfonsa Dzieciołowskiego, Edwarda Ligockiego, Józefa Relidzyńskiego, Edwarda Słońskiego, Józefa Andrzeja Teslara, Wacława Sieroszewskiego, Juliusza Kadena Bandrowskiego, Andrzeja Struga i innych).

W miarę rozwoju działań wojennych widziano w Piłsudskim uosobienie Chrobrego i Batorego, Chodkiewicza i Zółkiewskiego, Czarnieckiego, Jana Henryka Dąbrowskiego, Piotra Wysockiego i Romualda Traugutta. W okresie więzienia w Magdeburgu widziano w nim uosobienie bohaterów romantycznych dzieł

Mickiewicza czy Słowackiego, bohaterów cierpiących w więzieniach za sprawę Ojczyzny (Konrad, Król-[Duch).

Na progu niepodległości, kiedy były więzień Magdeburga został Naczelnikiem Państwa, ukazywano Piłsudskiego jako kontynuatora dzieła Tadeusza Kościuszki – naczelnika w szarej sukmanie, który na Rynku Krakowskim przysięgał, że wypędzi z Polski Moskali. Dzieła tego nie udało mu się dokonać. Uczynił to Piłsudski. Stał się zwycięzcą. Zakończył wojny, utrwalił granice. Nic dziwnego, że równolegle z tą symboliką (Piłsudski-Kościuszko) pojawia się w strukturze na tym miejscu omawianej legendy – Piłsudski jako rycerz przekuwający miecze i szpady na lemiesze. Powstaje wiele nowych utworów, tym razem ukazujących dawnego Brygadiera jako oracza i siewcę, który zagospodarowuje kraj, buduje młyny piekarnie, zakłada normalne „przemysły”. Sam Piłsudski dawał wyraźne sygnały, że się uważał za takiego budowniczego. Po zwycięskim powstaniu wielkopolskim, w czerwcu 1919 roku wygłosił w Poznaniu znamienne przemówienie:

Idą czasy, których znamieniem będzie wyścig pracy, jak przedtem był wyścig żelaza, jak przedtem był wyścig krwi. Kto do tych zawodów bardziej przygotowany będzie, kto w tym wyścigu większe dowody wytrzymałości złoży, ten w najbliższych czasach będzie zwycięzcą, ten potrafi utrzymać

to, co stracił.

(PZ.V,117)

Słowa te w literaturze polskiej odzywały się głośnym echem. Wielu poetów w latach dwudziestych i trzydziestych podnosiło temat pracy w mieście i na wsi. Dość przypomnieć fragment wiersza Tadeusza Łopalewskiego *Piłsudski*:

W belwederski ogrodzie wiatr wonny szeleści

Mgła opada jak welon z świętego oblicza,

Z tych oczu już wyzbytych i łez i boleści,

Którymi go urzekła Pani tajemnicza.

Więc w kuźniach dzwonią młoty, pług zagony orze,

W przędzalniach przędą płótno błyskawiczne krosna

Pan Marszałek swe okna na Polskę otworzył,

Uśmiecha się do dzieci i mówi: „Już wiosna...”

Podobny ton znalazł się w przemówieniu Piłsudskiego do społeczeństwa śląskiego... Nastąpiło to dopiero w trzy lata po wystąpieniu poznańskim. Wiadomo przecież, że los Śląska ważył się w negocjacjach międzynarodowych. Po trzecim powstaniu, na Konferencji Ambasadorów w Genewie, doszło 15 maja 1922 roku po podpisaniu polsko-niemieckiej konwencji mającej regulować stosunki graniczne między polską a niemiecką częścią Górnego Śląska. 27 sierpnia tegoż roku przybył Piłsudski do Katowic. Wizytował te tereny, które przed laty oddzielały zabór pruski od rosyjskiego. Miejsce to było mu znane z przeszłości. W okresie redagowania socjalistycznego „Robotnika” przebywał w regionie zagłębiowsko-śląskim. Pamiętał też fakt, że z tych połaci ziemi rekrutowali się działacze ruchu strzeleckiego, a następnie młodzi legionieści. Następnego dnia na bankiecie wydanym na cześć pierwszego wojewody górnośląskiego Józefa Rymera wypowiedział następujące słowa:

Przybyłem wzruszony do was, tak, jak każdy Polak, który przekracza dawną granicę, która tak niedawno jeszcze była

przekleństwem naszego życia. Ludzie jednej mowy, jednej wiary, jednych obyczajów, wąskim pasem ziemi lub strumykiem oddzieleni zostali jedni od drugiego, zmuszeni żyć różnym życiem, przystosowywać się do innych mów, innych wiar, innych zwyczajów. Te paski ziemi były w naszym życiu wiecznie krwawiącą raną, nie dającą się zbliżyć. Teraz granice te z tragedii zmieniły się w naszą radość – klęska przeobraziła się w tryumf.

Jeżeli zaś wszystkie granice, dzielnice tak niedawno jeszcze Polskę, w chwili gdy się je przebywało, zmuszały do wzruszeń, to ta, którą świeżo przekroczyłem, wznieca wzruszenie większe i trwalsze, niż wszystkie inne. Najśmielsze marzenia bowiem zatrzymywały się przed nią, jak przed murem nieprzebytym, sny nawet nie mogły się ostać wobec – zdawałoby się – oczywistej niemożności. Gdy inne granice były świeże i istniały od jednego wieku zaledwie, ta istniała od dziesiątków i dziesiątków pokoleń, które żyły i umierały z tym przekonaniem, że jest ona trwałą, niezłomną. Poczucie więc radości i tryumfu jest tym większe i żywsze

Przybywając do was odniosłem specjalne wrażenie na tej ziemi, na której związane zostały sprzeczności tak wielkie, jak żadne spotykane gdzie indziej. Obok lasów ogromnych, przypominających mi pustkowia kresów wschodnich –

olbrzymie wytwórnie z dymiącymi kominami, obok pierwotnych dzieł Stwórcy - owoc wysiłków wielu tysięcy mózgów i milionów rąk ludzkich, obok prostoty wiejskiego zacisza i leśnych pustkowi - skomplikowane życie nowoczesnego wielkiego przemysłu z jego ustawicznym ruchem i szumem, obok przepięknej staropolskiej mowy - wieża Babel obcych języków.

Ten dziwny z szmat ziemi zwie się Śląskiem i żył tak długo, i z tak ogromna pełnia życia odrębnego, często zapomniany przez resztę Polski. Wobec tego zespolenie naszego życia jest największym cudem pośród wszystkich w ostatnich latach, największym tryumfem spośród naszych tryumfów.

(PZ.V,275-276)

W dalszych wywodach mówca nie krył bynajmniej piętrzących się trudności w procesie formowania normalnego życia narodu. Podkreślał, że doskonale zna niedole ludzi, którzy na swych barkach niosą ciężary i niedostatki materialne rzeczywistości powojennej. Wskazywał, że należy wzmóc wysiłki, aby je zniwelować, a także wyzyskać siły moralne mające wyposażyć polskie społeczeństwo w wiarę w siebie. Polemizował z obiegowymi plotkami głoszącymi kasandryczne wieści jakoby Polska była tworem przejściowym, sezonowym i niebawem

zniknie z mapy Europy na skutek własnej niewydolności. Argumentował, że przez ostatnie cztery lata polskie państwo

zwycięsko wyszło ze wszystkich prób, przełamując tyle przeszkód postawionych na drodze jej rozwoju". (PZ.V,277).

Sygnalizował dobry rozwój rolnictwa i transportu, ograniczenie bezrobocia, umocnienie armii. Wskazywał, że jest wiele do zrobienia w skali międzynarodowej. Europa próbuje przyzwyczajać się do nowych form życia w nowych granicach. Wchodzi na nowe tory i musi wyrzec się starych nawyków oraz przyzwyczajeń. Konieczne są zmiany w sferze życia gospodarczego i prawno-kulturalnego.

Na koniec mówił, przechodząc z tonu rzeczowego i perswazyjnego w tonację podniosłą i emocjonalną:

Moi panowie, wiecie przecież wszyscy, z doświadczenia własnego, że gdy nowe stadło się kojarzy, musi przyjść okres, w którym charaktery wzajemnie się dostosowują, nabyte w ciągu poprzedniego życia przyzwyczajenia wzajemnie się naginają, zanim się ostatecznie osiągnie możliwość zrozumienia się. Proces taki tym szybszym jest i łatwiejszym, im więcej pomiędzy dwojgiem ludzi jest

szczerego uczucia miłości.

Moi panowie! Pozwólcie mi być w tym początku wspólnego życia Polski ze Śląskiem możliwie wielkim optymistą, gdyż wiem, że jak długa i szeroka jest Polska, nie ma toastu, któryby spełnić można z większym uczuciem miłości, jak toast, który wznoszę, wołając w imieniu Polski: niech żyje Śląsk!

(PZ.V, 278)

Jak widać Piłsudski – legitymizując się talentem pisarskim jako autor *Bibuły* i głośnej książki *Moje pierwsze boje* – był wyjątkowo sprawnym oratorem budującym swój wywód na nie schematycznych frazach językowych, zasadnych porównaniach i odkrywczej metaforze. Posiadał świadomość tego, że siłę perswazyjną ma zarówno logiczna i racjonalna jak i emocjonalna tkanka wypowiedzi. Zwracając się do słuchaczy, akcentował to, że ziemia śląska staje się mu osobiście bliska, gdyż miejscami (lasy i łąki między regionami przemysłowymi) przypominają mu jego najbliższą ojczyznę – Litwę i kresy wschodnie. Podnosił rangę i urodę języka miejscowej ludności. Traktował tę „przepiękną staropolską mowę” (PZ.V.276). jako największy skarb, który przez stulecia bronił i nadal broni swojej tożsamości pośród wieży Babel obcych języków. Mówiąc o pracy ludzi tej

ziemi, akcentował jej twórczy charakter. Podnosił twórczy wysiłek, nie tylko rąk – ale przede wszystkim – „wielu tysięcy mózgów”.

Wpatrując się w monumentalne dzieło Mestrovicia, zdobiące i nobilitujące skwer przy ulicy Jagiellońskiej w Katowicach, mamy świadomość, że Piłsudski odziany w szary mundur, w szarej maciejówce najtrafniej symbolizuje ogólnonarodowy czyn niepodległościowy. Jest widocznym znakiem tego, że Brygadier czy Komendant fundował ruch irredenty, nie na „karmazynach i purpuratach”, lecz na patriotycznym żywiole ludowym wywodzącym się właściwie z wszystkich zaborów. Szary mundur nie tylko symbolizuje ofiarność legionistów zmierzających z krakowskich Oleandrów przez Miechów do Kielc, ale także szare odzienia innych żołnierzy polskich: uczestników trzech kolejnych powstań śląskich, których nie stać było na złocenia, błyskotki, barwne lampasy.

Świadomość związku z dziełem Piłsudskiego na Śląsku była żywa. Dość przywołać jeden tyłkofakt, spośród wielu. Oto w czasie III powstania uformowany został KATOWICKI PUŁK POWSTAŃCZY IMIENIA JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO, skutecznie działający w maju 1921 roku w rozmaitych strukturach organizacyjnych ówczesnych sił zbrojnych. Ten „śląski” charakter pomnika stanie się jeszcze bardziej wyrazisty wówczas, gdy monument zostanie „skompletowany”. Wówczas

wokół postaci Piłsudskiego pojawią się postacie alegoryczne jako elementy składowe całości. W ich symbolice pojawi się przesłanie: Śląsk wierny Macierzy – Polsce.

Nieopodal pomnika Piłsudskiego w Katowicach, na skraju Placu Sejmu Śląskiego wmurowany był kamień węgielny pod pomnik Wojciecha Korfanteo, ofiarnego bojownika o polskość Śląska. Ten symboliczny kamień węgielny rychło przekształcił się w monument. Piłsudski i Korfanty uchodzili za oponentów politycznych. Jeden i drugi jednak wniósł wielki wkład w proces formowania się Drugiej Rzeczypospolitej Polskiej. Podobnie jak wielu innych: Wincenty Witos, Ignacy Daszyński, Roman Dmowski, Ignacy Paderewski, Gabriel Narutowicz, Stanisław Wojciechowski. Tułacze szlaki naszych rodaków do wyzwolonej ojczyzny wiodły z rozmaitych kierunków i kształtowane były przez rozmaite osobowości. Po wielu dziesięcioleciach dawne spory polityczne przybladły. Dziś wiadomo, że Niepodległa Polska wyrosła z krwi, walki i pracy nie tylko wybitnych przywódców ruchu irredentystycznego, ale całego narodu. Postać Piłsudskiego świeci jednak szczególnym blaskiem.

---

W niniejszym szkicu zastosowano następujące skróty: J. Piłsudski: *Pisma zbiorowe*, Warszawa 1937=PZB. Cyfra rzymska po skrócie oznacza tom, arabska-stronę przywoływanego tomu.

---

# Szacunek dla historii



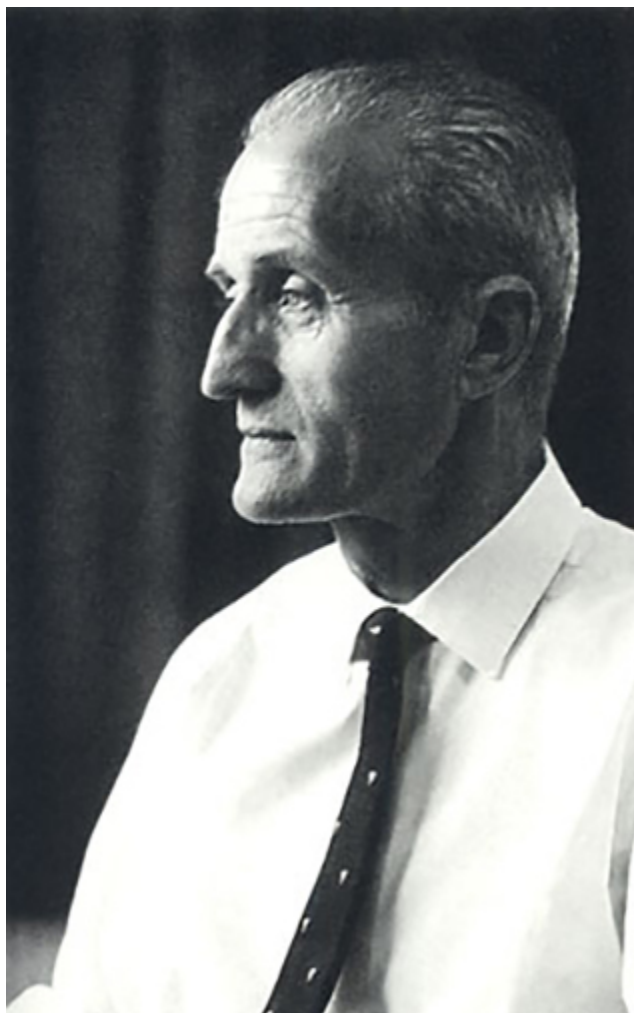
Józef Garliński z żoną Eileen, Londyn, lata 70. XX w., fot. Biblioteka Uniwersytecka KUL.

**Florian Śmieja** (*Mississauga, Kanada*)

Historyk Józef Garliński (1913-2005) bezustannie przypominał

Anglosasom o polskim wkładzie w II wojnę światową. Dopominał się o uznanie zasług Polaków w rozpracowaniu niemieckiej maszyny szyfrowej Enigma, informował o nieznanym aspekcie obozu zagłady Auschwitz wydając książkę "Fighting Auschwitz" o organizowanym przez Polaków ruchu oporu, mającym za zadanie przechwycenie władzy w obozie w odpowiednim momencie.

Gdy zaproszony przez Klub Dyskusyjny do London, Ontario, przyleciał z Londynu, lokalna gazeta kanadyjska opublikowała ogromne zdjęcie jego przedramienia z numerem oświęcimskim, wywołując konsternację i wielką dyskusję.



Józef Garliński, fot. Biblioteka Uniwersytecka KUL.

Z czasem Garliński stał się instytucją, po upadku rządów komunistów w Polsce odwiedzał kraj z odczytami. Spotkałem go we Wrocławiu, w Anglii wręczył mi nagrodę literacką w 1991 roku. Długo piastował prezesurę Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, był ambitny, ale także ofiarny i pracowity, a do społecznej pracy niewielu się paliło.

Po wielu latach urzędowania zastąpił go prof. Mieczysław Paszkiewicz, poeta i historyk sztuki, ale wkrótce umarł i wtedy jego funkcję objęła poetka i długoletni wydawca Oficyny Poetów i

Malarzy, Krystyna Bednarczyk.

\*\*\*



Bohdan Jan Ejbich

Witałem sagę o polskiej eskadrze myśliwskiej 303 "A Question of Honour" Lynn Olson i Stanley'a Clouda kilka lat temu z entuzjazmem i miło mi, że gościliśmy autorów w Toronto i że ich

książka wydana została po polsku. Pamiętam jeszcze, że wystarczyło w owych czasach entuzjazmu dla polskich lotników – nosząc polski mundur wojskowy, nie płaciło się za transport publiczny w Anglii.

Tę sławę polskich skrzydeł pomnażał także mieszkający w Toronto, a zmarły w 2013 r. w wieku 97 lat, inż. Bohdan Ejbich. Zapisawszy piękną kartę bojową, 44 loty bombowe, jako kapitan pilot po kilku latach w Anglii przeniósł się do Kanady, gdzie dał się poznać jako wiarygodny społecznik i autor ośmiu książek opowiadających o przeżyciach własnych, a także kolegów i towarzyszy, m.in. legendarnego płk. Bolesława Orlińskiego.

---

# W służbie Polakom spoza kraju

**Rozmowa z prezesem Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” - Dariuszem Piotrem Bonisławskim.**



Dariusz Piotr Bonisławski – prezes Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”.

**Joanna Sokołowska-Gwizdka:**

**Zanim został Pan prezesem Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”, był Pan wiceprezesem Zarządu Krajowego oraz prezesem Oddziału Warmińsko-Mazurskiego. Co Panu przyświecało, żeby poświęcić się misji pomocy Polakom za granicą i promocji Polski poza krajem?**

**Dariusz Bonisławski:**

Często nasze losy toczą się niezależnie od wypracowanych ścieżek. Tak było i w moim przypadku. Mieszkając na terenach Warmii i Mazur spotykałem się z wieloma Polakami, którzy pochodzili z dawnych kresów wschodnich – z Wileńszczyzny, Białorusi czy z Ukrainy. Działały tam też różnego rodzaju stowarzyszenia, towarzystwa miłośników „małych ojczyzn” – Wołynia, Polesia, czy Wileńszczyzny. Dawaly one dobry grunt do zainteresowania się zarówno historią, jak i dniem obecnym na tych terenach. Po upadku Związku Sowieckiego otworzyła się możliwość osobistego poznawania spuścizny historycznej i kulturalnej, jaką Polska pozostawiła na dawnych kresach wschodnich. Zrodziła się też konieczność pomocy Polakom, którzy nadal mieszkali za wschodnią granicą, budowania różnego rodzaju obiektów służących edukacji czy rozwojowi kultury. To było bardzo duże, ale też i wciągające wyzwanie.

Inne moje spotkania z Polonią wiążą się z doświadczeniami rodzinnymi. Mój brat będąc małym dzieckiem skorzystał z jednego z programów, do dzisiaj zresztą funkcjonujących w Stanach Zjednoczonych, który pomagał finansować operacje ciężko chorym dzieciom z Polski. To spowodowało na pewno naszą wdzięczność dla środowisk polonijnych w Ameryce, które tę pomoc niosły, ale pozwoliło także bliżej te środowiska poznać i nawiązać przyjaźnie.

**Kiedy zbierałam materiały dziennikarsko-literackie na**

**temat rodziny Tyszkiewiczów, pojechałam na Litwę, aby odwiedzić pozostałe tam majątki i poznać zbiory archiwalne. Spotkałam wtedy rodaków mieszkających w Wilnie i okolicach, którzy uważali się za Polaków mieszkających poza Macierzą, a nie emigrantów. Pamiętam, jak w rozmowach podkreślali, że przecież nigdzie nie wyjeżdżali z własnej woli, tylko granice zostały przesunięte w wyniku niezależnych od nich zmian historycznych.**

To są ważne subtelności, których osoby niezajmujące się Polakami żyjącymi poza granicami kraju nie rozróżniają. Nazywanie Polonią ludzi mieszkających na terenach dawnej Rzeczypospolitej jest dla nich obraźliwe. Mówiąc o Polonii powinniśmy myśleć o osobach, które z różnych względów – osobistych, rodzinnych, politycznych czy ekonomicznych opuściły kraj. A Polacy mieszkający na kresach nigdzie nie wyjeżdżali. To są Polacy, którzy nadal żyją tam, gdzie żyli ich przodkowie. I to należy uszanować.

**Stowarzyszenie „Wspólnota Polska” buduje Domy Polskie w Polsce i poza granicami. Mają one pełnić rolę integracyjną. Czy od czasu upadku Związku Sowieckiego państwo polskie większą uwagę przywiązuje do budowy takich ośrodków za wschodnią granicą, niż w rejonach, gdzie dawna Polonia się sama zorganizowała i ma**

**wieloletnie doświadczenie w działalności na rzecz utrzymania polskiej kultury? Budowany jest teraz Dom Polski we Lwowie.**

Dom Polski we Lwowie jest jednym z wielu, które Stowarzyszenie „Wspólnota Polska” i państwo polskie budują po to, by środowiska polskie za granicą mogły w skuteczny sposób rozwijać i podtrzymywać polską kulturę, język, czy też polskie struktury organizacyjne. Taki dom funkcjonuje np. w Wilnie. Podaję ten przykład, bo jest najbliższy. Budowany kilkanaście lat temu w miejscu, w którym kwitła kiedyś polska kultura. Historycznie jest to przecież miasto bardzo związane z Polską, stanowi też centrum społeczności polskiej zamieszkującej obszar Wileńszczyzny, na terenie dzisiejszej Litwy. Przez wiele lat, z różnych powodów nie było możliwości zrealizowania takiej inwestycji we Lwowie. Powstały Domy Polskie w Żytomierzu, w Barze, czy w wielu miastach na Białorusi – te ostatnie niestety w tej chwili bez możliwości realizowania celów statutowych, ze względu na tamtejszą sytuację polityczną. Bardzo nad tym ubolewamy, że Domy Polskie na Białorusi zostały postawione w sytuacji, która uniemożliwia normalne funkcjonowanie.

Ale wracając do pani pytania. Tak, dużą uwagę przykładamy do Polaków zza wschodniej granicy, tworząc inwestycje, które mają na celu utrzymać polskość, na terenach, gdzie przez lata było to bardzo trudne. Chcemy także pokazywać dzisiejszą polską

kulturę, promieniować na obszar m.in. Lwowa oraz całego regionu.

**We wrześniu 2018 r. z inicjatywy Teresy Bagińskiej-Żurawskiej (historyka sztuki) i Wrzesława Żurawskiego (architekta wnętrz) związanych z Muzeum-Zamkiem Potockich w Łańcucie, zostało otwarte Muzeum Potockich w Antoninach na Ukrainie, w dawnej posiadłości rodziny. Na starannie opracowanych planszach można było zobaczyć, jak wyglądał pałac w czasach swojej świetności. Ukazała się też publikacja w języku ukraińskim. Widać, że wysiłki takich instytucji, jak Stowarzyszenie „Wspólnota Polska” nie idą na marne, tworzy się przyjazna atmosfera dla podobnych inicjatyw, a polska kultura i historia ma szanse zaistnieć na tych terenach.**

**A wracając do tworzenia centrów kultury poza Polską. Jak wygląda powstawanie Domów Polonii w innych rejonach świata?**

Stowarzyszenie „Wspólnota Polska” pomagało realizować te inwestycje, które zostały zaakceptowane przez instytucje państwa polskiego, głównie przez Senat na przestrzeni ostatnich 30 lat. Domy Polonii powstawały w dużych skupiskach Polaków – w Argentynie, Brazylii czy w Europie. Duża część obiektów powstała ze środków lokalnych społeczności. Takim przykładem

może być Dom Polonii w Belgii, w Comblain-la-Tour, gdzie mieszkający tam Polacy po II wojnie światowej, zaciągając kredyty postanowili kupić ośrodek, w którym ich dzieci mogłyby spędzać wakacje i uczyć się języka polskiego. Ośrodek ten doskonale funkcjonuje do dziś, a my dofinansowujemy jego remont. Jest wspaniale zarządzany. Odbywają się tam obozy dla dzieci i młodzieży, kolnie, zjazdy nauczycieli.

Są też takie obiekty, które były kiedyś pozyskane przez Polonię, ale obecnie nie funkcjonują. Bardzo wiele więc zależy od lokalnej społeczności, od tego czy ma pomysł na wykorzystanie obiektu i czy inwestycja ma sens. Przyglądam się niektórym inwestycjom w Brazylii, gdzie mieszka duża grupa Polaków, w większości nie mówiących już po polsku. Ale mają swoje ośrodki, które kiedyś kupili i zagospodarowali. One tętnią życiem, a to cieszy.

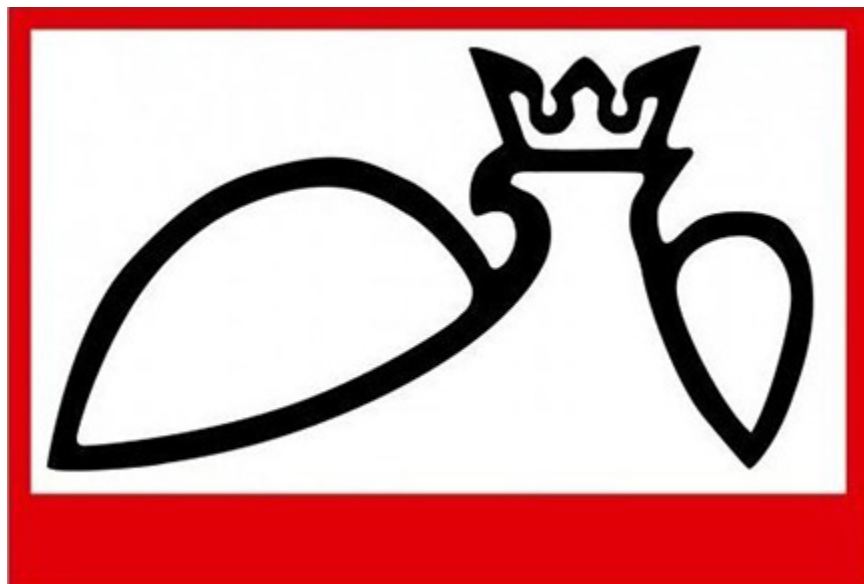
**W Teksasie, gdzie mieszkam, niedaleko San Antonio powstaje Panna Maria Heritage Center, założone przez potomków najstarszych polskich osadników w Ameryce, którzy przyjechali wraz z księdzem i całą wsią spod Opola w poł. XIX w. Oni bardzo podkreślają swoje polskie korzenie i mimo, że są piątym lub szóstym pokoleniem i nie mówią po polsku, wkładają wiele energii w odtwarzanie historii i budowanie polskości. Czy w działalności Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” jest miejsce na projekty utrwalające polskie losy, biografie, miejsca na**

## **różnych kontynentach?**

Funkcjonował kiedyś we „Wspólnocie Polskiej” ośrodek dokumentacji uchodźstwa polskiego. W tej chwili odbudowujemy tę część naszej działalności. Mamy głębokie przekonanie, że dziedzictwo związane z pamięcią i historią Polaków żyjących poza granicami kraju jest ogromnie istotne. Mamy też świadomość, że upływający czas zabiera tę historię i w przyszłości może być ona nie do odtworzenia. Dokładamy więc wszelkich starań, aby pomóc w realizacji dobrych pomysłów i projektów.

**Dziękuję Panu za rozmowę i życzę powodzenia w tej jakże ważnej służbie na rzecz Polaków mieszkających poza krajem.**

**Więcej informacji na temat projektów realizowanych przez Stowarzyszenie „Wspólnota Polska” można znaleźć na stronie: <http://wspolnotapolska.org.pl>**



*Stowarzyszenie „Wspólnota Polska” jest organizacją pozarządową powołaną w lutym 1990 roku z inicjatywy marszałka Senatu RP pierwszej kadencji **prof. Andrzeja Stelmachowskiego**, który był prezesem do 2008 roku. W 2008 r. prezesem został **Maciej Płażyński**, były marszałek Sejmu, który zainicjował wiele nowych projektów polonijnych. Kierował on Stowarzyszeniem niecałe dwa lata, do swej tragicznej śmierci w katastrofie smoleńskiej w 2010 r.*

*Kolejnym prezesem Stowarzyszenia został **Longin Komółowski**, były wicepremier RP i minister pracy i polityki społecznej w rządzie Jerzego Buzka, który kierował pracą Stowarzyszenia do swojej śmierci w grudniu 2016 r. Od marca 2017 r. prezesem Stowarzyszenia jest **Dariusz Piotr Bonisławski**, wieloletni prezes Oddziału Warmińsko-Mazurskiego, od 2010 roku wiceprezes Zarządu Krajowego „Wspólnoty Polskiej”, a w latach 2002-2010 członek*

*Rady Krajowej i Komisji Programowej SWP. Obecny prezes Stowarzyszenia jest pomysłodawcą i współtwórcą ważnych przedsięwzięć służących edukacji: Szkoły Podstawowej Nr 1 im. Armii Krajowej, Salesjańskiego Liceum Ogólnokształcącego czy Domu Polonii w Ostródzie. Jest twórcą, koordynatorem oraz ekspertem Ośrodka Doskonalenia Nauczycieli Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”, prowadzącego program szkoleniowy dla nauczycieli polonijnych z całego świata. (Na podst. strony Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”).*

**Magazyn „Culture Avenue” w czerwcu 2018 roku został wyróżniony statuetką im. Macieja Płażyńskiego, w kategorii media polonijne, za działalność na rzecz kultury polskiej poza krajem. Więcej informacji:**

<http://www.cultureave.com/nagroda-dla-magazynu-culture-avenue/>

---

# Mały słownik staropolskich obyczajów wielkanocnych



Stół wielkanocny we dworze, fot. archiwum Muzeum Wsi Mazowieckiej w Sierpcu.

## **Stefan Król** (*Kanada*)

...Minęły wieki, a tak jak niegdyś znicz od pogan strzeżony, tak jak pogańskie pamiątki od ludu przechowywane – pielęgnujemy dawne przodków obrzędy: to co weszło w zwyczaj, niech zwyczajem zostanie, a to, co było, cośmy od Ojców zasłyszeli, lub sami jeszcze widzieli, przekazmy tym, co po nas przyjdą; pomni, że gdzie była przeszłość, tam i przyszłość będzie...

(Leon Potocki, „Świecone, czyli pałac Potockich w

Warszawie", 1854 r.)

## Baba wielkanocna

Bab zawsze było w Polsce co niemiara. Chodzi oczywiście o rdzennie polski specjał wielkanocny i chlubę staropolskiej kuchni (wypiekano je już w XVII w.). Były więc baby „puchowe”, „polskie”, „ukraińskie”, „podolskie”, „krakowskie”, „warszawskie”. Były baby „migdałowe”, „muślinowe” – dla równości dziurek w cieście tak nazwane, „razowe”, „pospolite”. Wszystkie, łącznie z tą ostatnią, wymagały wiele zachodu – bez przedświątecznego nastroju trudnego do urzeczywistnienia.

Hałas, rejdach, rwetes, wrzawa,

łoskot, łomot jak w młockarni,

w izbie parno, świst, kurzawa,

Drzwi wciąż skrzypią do spiżarni.

Znoszą masła, jaja, sery,

## Mąki, cukry i korzenie...

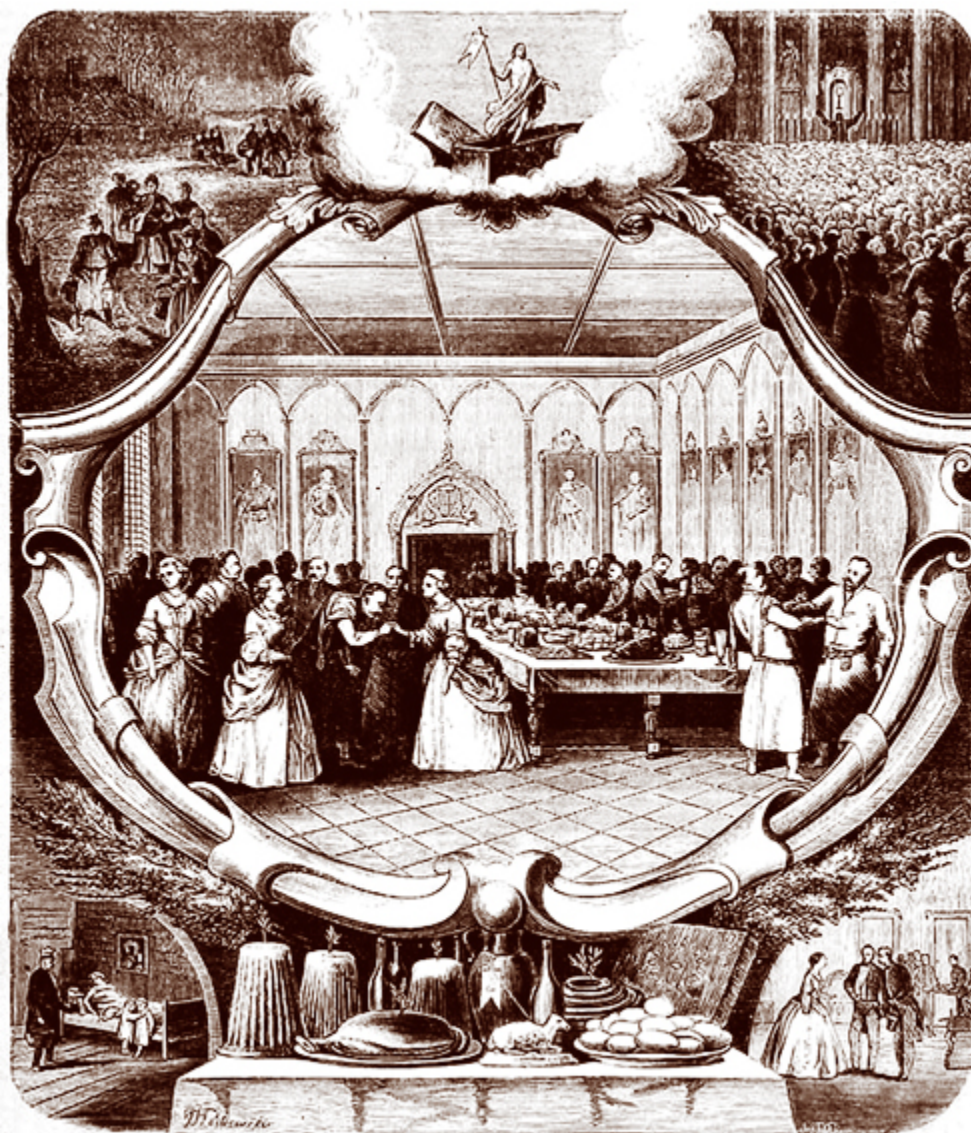
To dziewiętnastowieczny rymowany opis przygotowywania do pieczenia baby wielkanocnej. Rwetes przygotowania rozpoczynał się zwykle w poniedziałek lub wtorek Wielkiego Tygodnia. Po zebraniu i przygotowaniu składników (moczono szafran w wódce, mielono migdały, tłoczono w moździerzach wanilię...) rozpoczynało się wyrabianie ciasta. I to był początek prawdziwego misterium. Zamykano drzwi, uszczelniano okna, aby nawet najłżejszy przeciąg nie oziębił ciasta, inaczej źle by rosło. Wyrobiec ciasto nakładano do form, przykrywano białymi, lnianymi, ogrzewanymi ściereczkami, żeby się „nie przeziębilo”. Od tego momentu kończyły się „hałas, rejwach, rwetes, wrzawa”, kończyła się bieganina, a nawet głośne rozmowy. Mówiono szeptem, poruszano się na palcach. Wkładanie i wyjmowanie z pieca odbywało się w grobowym milczeniu, żeby najmniejszy hałas nie zaszkodził delikatnemu, wypieczonemu ciastu. Potem następowało chłodzenie baby. Ale o tym niech nam opowie Jarosław Iwaszkiewicz, który obserwował ten rytuał w dzieciństwie:

Gdy wreszcie baby upiekły się - a siedziały w piecu ze dwie godziny, przy czym cały czas trzeba było chodzić na palcach i mówić szeptem - następował dramatyczny moment wyjmowania z pieca. Wtedy trzeba było wyteńczyć całą uwagę

po to, aby się jeszcze gorące ciasto nie wykrzywiło (...). W tym celu wprost z form baby przekładano na poduszki i dziewczęta kuchenne kołysały je na paluszkach, jak usypiające dzieci, dopóki ciasto nie ostygło. Niezapomniany był to widok, kiedy grono kobiet z poważnymi minami kołysało owe baby w obrzędowy sposób, jak gdyby od tego zależały losy świata.

Przy tak hołubionym wypieku zdarzały się, rzecz prosta, „klęski urodzaju”: *niejedna w piecu czasem tak urośnie, że się lukta potem prowadzi czy babę rozkroić, czy piec rozwalić, aby babę z niego wydobyć* – pisze w 1854 r. Leon Potocki. Tenże Potocki pisze jeszcze:

Na Ukrainie dotąd jest zwyczaj iż w folwarku, kędy pieką baby, przewożą je potem na taczkach do dworu. Nasze kilogramowe mizeroty nawet równać się nie mogą z taczkowymi kolumbrynami. Nie mamy pieców chlebowych, nie mamy stu jajek, dziewczki kuchenne musi zastępować mikser, w dzisiejszym z radiofonizzowanym świecie z ciszą też mamy kłopoty – a jednak żal by było, gdyby baby zeszły z tego świata do krainy cieni bezpotomnie. Niechby zostały chociaż babki.



Staropolskie święcone w zamożnym dworze, drzeworyt, skomponował i rysował Polkowski, rytował Styli w Warszawie, Tygodnik Ilustrowany.

## Groby Pańskie

Noc na dworze – a w kościółku

Uroczyste światła płoną;

Grób Chrystusa oświetlono

Od podłogi do wierzchołka.

Malarz wiejski prosty, tani,

Wymalował skały groty.

Wymalował szczyt Golgoty

I trzy krzyże widne na niej.

(Władysław Syrokomla)

W ubogim wiejskim kościółku malarz „prosty, tani” dokonywał wystroju Grobu Pańskiego. W większych miastach, gdzie kościołów było kilka lub nawet kilkanaście Groby były bardziej okazałe, czasami grzeszyły wręcz przepychem. Rywalizacja pomiędzy parafiami, a także pomiędzy zgromadzeniami zakonnymi w urządzaniu Grobów Pańskich sprawiała, że bogactwem wystawy i pomysłów polskie Groby Pańskie wprawiały często w zdumienie cudzoziemców. Za panowania Augusta III – jak opisuje Jędrzej Kitowicz w swoich *Obyczajach staropolskich*

Groby robione były w formę rozmaitą stosowaną do jakiej historii z Pisma Świętego (...) reprezentowały Abrahama patriarchę, syna swego Izaaka na ofiarę zabić chcącego (...) Albo Daniela Proroka w jamie między lwami zostającego (...) Albo Jonasza, którego wieloryb połyka paszczą swoją (...) Górę kalwaryjską z zawieszonym na Krzyżu Chrystusem, z żołnierzami, którzy go krzyżowali i z tłumem żydostwa, którzy się temu krzyżowaniu przypatrowali.

Polski „duch narodowy” zwykł był sprowadzać historie biblijne pod polskie niebo i przykrawać na rodzimą miarę. Rychło więc zaczęły się pojawiać elementy narodowe w ubieraniu Grobów Pańskich. W XVII w. w jednym z kościołów warszawskich ułożono Grób z samych szyszaków, tarcz, szabel i innych militariów. W okresach niewoli sarmacki przepych zniknął, a Groby przekształcały się w symbole. W 1942 r. na przykład w kościele św. Anny w Warszawie Grobem Pańskim były zwęglone belki, pasma kolczastego drutu, surowy czarny krzyż i zmizerowany jakby wykradziony z obozu koncentracyjnego trup Zbawiciela. Tradycja Grobów-symboli odrodziła się znowu w okresie stanu wojennego.

Przy Grobach straż pełniły specjalne warty. Kitowicz opowiada iż tradycją było, że *w kościele kolegiackim straż pełnili drabanci królowej, a u św. Trójcy artyleria koronna przy broni*. W moim

rodzinnym kościele parafialnym straż pełnili strażacy.



Wielkanoc na Mazowszu, fot. Muzeum Wsi Mazowieckiej w Sierpcu.

## Pisanki

Zdaje się, że stary problem: co było pierwsze jajko czy kura należy rozstrzygnąć na korzyść jajka. W każdym razie Rzymianie zaczynali wszystko *ab ovo* czyli od jajek. Według podań ukraińskich pierwsze jajko zniósł kogut (a więc nie kura), gdy świat był jeszcze pusty. Z tego jajka wypłynęło siedem rzek, które nawodniły doliny i wszystko się zazieleniło. Można było

śpiewać „Na zielonej Ukrainie...”.

Początki zwyczaju malowania jajek giną w tzw. „pomroce dziejów”. Do Polski pisanki przybyły prawdopodobnie razem z chrześcijaństwem. W każdym razie Wincenty Kadłubek w swojej *Kronice* z początku trzynastego wieku pisze:

Polacy z dawien dawna byli zawistni i niestali, bawili się z panami swemi jak z malowanymi jajkami.

Nie wdając się w dyskusję ze znakomitym autorem zauważmy, że niestali Polacy przynajmniej w jednym byli stali: w malowaniu pisanek. Zwyczaj przetrwał w żywotnym stanie do naszych czasów, a w zabawie, którą użył mistrz Wincenty do charakterystyki rodaków miałem szczęście, jako mały chłopiec, uczestniczyć (w Janowie Lubelskim). Nazywała się wtedy „grą w bitki”. Na specjalnie urządzonej na ten czas pochylni zderzało się jajka; pęknięte jajko było wygraną właściciela mocniejszego jajka.

Pisanki były ulubionym podarunkiem wielkanocnym. Całe ich stosy ofiarowywano w dowód przyjaźni najbliższym i przyjaciołom. Podarowanie pięknie zdobionego jajka było wyrazem dobrych życzeń i serdecznych uczuć. I choć pewnie nikt dzisiaj nie maluje stosów pisanek, to przecież twórczość

pisankowa jest ciągle żywa. Zdarza się, że zdobienie pisanek łączy dziadków z wnukami. Z korzyścią dla obu generacji: dziadkowie mają odmładzającą zabawę, dzieci biorą udział w dorosłym rękodziele.



Wielkanoc, fot, Muzeum Wsi Lubelskiej.

## Poświęcenie ognia i wody

*W Wielką Sobotę ognia i wody naświecić, bydło tym skropić i wszystkie kąty w domu to też rzecz pilna – zalecał Mikołaj Rej. Poświęcenie ognia zawsze odbywało się na zewnątrz kościoła na*

placu przy kościelnym. Etnograf Franciszek Gawełek (1884-1919) tak opisuje ten obrzęd:

Do dużego stosu najrozmaitszego rodzaju drzewa, jak starych krzyży, gałęzi tarniny itp., zgromadzają się wierni w skupieniu oczekując przybycia księdza. Młodzież staje najbliżej ogniska. Ogień rozniecono, ceremonia dokonana. Zaledwie ksiądz zdołał się oddalić, a już ta sama gromada, która przez chwilę była w takim skupieniu, rzuca się na ognisko, nie czekając aż ono się wypali, aby zdobyć choć jeden ogarek, choć jedną gałązkę poświęconą, którą z radością zanieśie do domu, jako ochronę przed burzami i gradami.

W latach wczesnej młodości sam bywałem w tłumie cisnących się ludzi by zdobyć – koniecznie nadpaloną – gałązkę tarniny. Do dziś noszę w uszach wielkosobotni śpiew skowronków, który towarzyszył mi w drodze do kościoła. Pamiętam także jak przygotowane przez Ojca ziarno siewne Mama zawsze kropiła przyniesioną przez mnie wodą święconą.

Po poświęceniu ognia i wody, gdy ksiądz zaśpiewał *Gloria* rozdzwaniały się wszystkie dzwony – w Wielki Piątek zastępowane kołatkami. Z sobotnim *Gloria* i dzwonami wiąże się interesująca legenda o Lucyperze władcy ciemności. Pan Jezus

po śmierci wstąpił do piekła. Tam rozkazał archaniołowi Gabrielowi przykuć Lucypera łańcuchem do kamiennego słupa. Łańcuch zawierał tyle ogniw ile jest dni w roku. Lucyper codziennie przegryzał jedno ogniwo; na ostatni dzień przed zmartwychwstaniem pozostawało do przegryzienia ostatnie, lecz dźwięk dzwonów wielkanocnych zwiększa ogień piekielny, ogniwa ponownie się spajają i Lucyper zostaje uwięziony na kolejny rok. Lucyper uwolni się na sądny dzień przy końcu świata. Nie stanie się to jednak dopóty, dopóki w Wielką Sobotę będą biły dzwony kościelne.



Wielkanoc na Mazowszu, fot. Muzeum Wsi Mazowieckiej w Sierpcu.



Wielkanoc na Mazowszu, fot. Muzeum Wsi Mazowieckiej w Sierpcu.

## Rezurekcja

Zygmunt Gloger w *Ecyklopedii Staropolskiej* pisze:

Rezurekcja to obrzęd radosny, w krajach słowiańskich powszechny (...). Polega on na wyniesieniu Najświętszego Sakramentu z tzw. grobu i trzykrotnej uroczystej procesji wokoło kościoła wśród pieśni wielkanocnych. Obchód powstał z misteriiów średniowiecznych, a na jego rozszerzenie wpłynęli bożogrobcy.

Gdy biły dzwony na rezurekcję, wszyscy spieszyli do kościoła. Wierzono, że kto nie pójdzie wtedy do kościoła cały rok będzie chorował. Ponadto, kto przespał rezurekcję nie miał prawa jeść święconego. Rezurekcja była bardzo niebezpieczna dla czarownic. W folklorze żywieckim istnieje bowiem podanie, że jeśli w procesji bierze udział czarownica, to musi się coś takiego wydarzyć, co nie pozwoli jej trzykrotnie obejść kościoła – rzemyk od kierpca odpadnie, spódnica się oberwie... Będzie więc rozpoznana. W czasie rezurekcji kościoły zalegały tłumy – trzeba koniecznie powiedzieć: uroczyste tłumy, różniące się od zwykłych tłumów jakąś trudną do opisaną radosną powagą. W czasie procesji triumfalnie brzmiała i brzmi dzisiaj zwycięska pieśń zmartwychwstania: *Wesoły nam dziś dzień nastał*. Jedną z najpiękniejszych pieśni z repertuaru polskich pieśni religijnych wieści ludziom radość zmartwychwstania przynajmniej od pięciu wieków. Brzask chłodnego poranka, dźwięk dzwonów, zapach kadzideł, wędrująca pod baldachimem razem z tłumem monstrancja tworzą nastrój który ściska za gardło. Wprost czuje się w powietrzu, że wydarzyło się coś radośnie niezwykłego: wesoły nam dziś dzień nastał.

Dawniej rezurekcyjnym dzwonom wtórowały armaty, moździerze, strzelby, pistolety. Było to niegdyś całkiem głośne nabożeństwo.

Po Primarii – pierwszej mszy po Zmartwychwstaniu Pana – w

drodze do domów odbywał się wyścig furmanek. Wyposzczeni ludzie śpieszyli na Wielkie Śniadanie.



Wielkanoc na Mazowszu, fot. Muzeum Wsi Mazowieckiej w Sierpcu.

## **Śmigus-dyngus**

Po spędzonej w gronie rodzinnym, przeważnie na jedzeniu, niedzieli wielkanocnej następował poniedziałek wielkanocny – dzień harców i swawoli, czyli wzajemnego oblewania się wodą. Dzisiejsza nazwa tego obyczaju „smigus-dyngus” wzięła się z połączenia dwóch wielkanocnych obrządków. Tak jak w czasie

świąt Bożego Narodzenia „po kolędzie” przymawiając się o podarek czyli kolędę, tak w czasie świąt Wielkiej Nocy chodzono „po dyngusie” przymawiając się o dyng np. przyśpiewką:

Przyszedłem tu po dyngusie.

Leży placek na obrusie.

Tata kraje, mama daje,

Proszę o malowane jaje.

Poranne dyngowanie czy dyngusowanie kończyło się śmigusem: oblewaniem wodą. Zwyczaj ma pewnie początek w czasach prasłowiańskich, kiedy głęboko wierzono w oczyszczającą moc wody. A kościół wprowadzając poświęcenie wody właściwie tę wiarę usankcjonował, choć z początku był staremu obyczajowi. Najstarsze świadectwo o śmigusie-dyngusie w Polsce pochodzi z czasów Władysława Jagiełły. Jest nim uchwała synodu diecezji poznańskiej z roku 1420 pt *Dingus prohibetur* potępiająca ten zwyczaj. W uchwale czytamy:

Zabraniajcie, aby w drugie i trzecie święto wielkanocne mężczyźni kobiet, a kobiety mężczyzn nie ważyli się napastować o jaja i inne podarunki, co pospolicie nazywa się dyngować, ani do wody ciągnąć, bo swawole i dręczenie takie nie odbywają się bez grzechu śmiertelnego i obrazy imienia Boskiego.

Zakaz przez długie wieki okazał się nieskuteczny. Dopiero w naszych czasach zwyczaj jest w zaniku. Niestety słabnie również wiara katolicka.



Wielkanoc we dworze na obrazie Bronisławy Rychter-Janowskiej

## Święcone

Nasze święcone to „mały pikuś” – by użyć współczesnego slangu – w porównaniu ze święconym naszych przodków. Oto opis święconego u mieszcznina i rajcy krakowskiego Mikołaja Chroberskiego przekazany przez dworzanina hetmana Jana Tarnowskiego (188-1561) Mikołaja Pszonkę w liście do żony Salomei:

A czas już wielki, abym Waszeci opisał – tak tytułuje mąż żonę – com widział i pożywał na święcone u Imci pana Mikołaja Chroberskiego rajcy, mieszczanina utściwego (...). Stół okrągły na środku, wieki, dębowy, żeby stu ludzi koło niego wygodnie siadło i jadło. Obrus na nim jeden wielki, ale w krzyż zaszywany. Na sześciu misach srebrnych, roboty wspaniałej, były mięsiwa wieprzowe z zad. Na drugich sześciu było dwoje prosiąt okrągłutkich, kielbasy najmniej po cztery łokcie długie, a dziwnie pachnące i koloru krokoszowego, ciemnego ustrojone rzędami jaj święconych i pisanek pomalowanych w przeróżnej barwie, ale najwięcej na rakowe. Mięsiwo miało cudną powłokę z tłuszczu w różową barwę wpadającą. Pomiedzy tymi misami stały figury z ciasta przedniego, wyobrażające dziwnie zabawne historyjki. Poncyusz Piłat wyjmował kielbasę z kieszeni Mahometa, a wiadomo, że Żydzi i Turcy nie jedzą

wieprzowiny, więc to na nich epigramma były pocieszne. Na samym środku stołu stał dziwnie piękny baranek z masła wielkości naturalnej owieczki (...)

Przerwę w tym miejscu sprawozdanie pana Pszonki; miał ci on żonę wymagającą i ciekawą, a stół był olbrzymi, więc opis zajmuje kilka stron. Trudno nawet w opisie wytrzymać taką obfitość jadła. A przecież wyważony społecznie opis powinien zawierać jeszcze opisy wielkanocnych stołów magnackich, szlacheckich i chłopskich; żadne z nich skromnością nie grzeszyły. Z kłopotu wybawi nas staropolska „teologia stołu”. Według niej śniadanie powinno być jak kazanie (krótkie i treściwe), obiad jak msza i kolacja jak nieszpory. A ponieważ każdy wspólny posiłek – i w dworcu szlacheckim i chłopskiej chacie – zaczynał się i kończył modlitwą, niech więc dalszy opis staropolskiego świątecznego stołu będzie w formie modlitwy:

Któryś raczył zgromadzić nas do tego stołu,

błogosław, co z korzeniem i co do rosołu.

Któryś stworzył z niczego niedostępne nieba,

raczże nam dziś przeżegnać i tę kromkę chleba

Święty Pietrze otwarłszy niedobyte sklepy,

błogosław nam pieczenią i to mięso z rzepy.

Miła święta Heleno, z miłą świętą Anną,

przeżegnaj nam te kiszki pospołu z brytfanną.

Miły święty Adamie ze swą małżonką Ewą,

przeżegnaj to, co z cukrem, i to, co z podlewą.

Wszystkie nasze potrawy, ba, i to, co z chrzanem,

błogosław nam nasz Panie;

mówmy wszyscy: Amen.

(Olbracht Karmonowski „*Pacierz do stołu*”, pocz. XVII w.)

## Pytanie

Kto odniósł większe korzyści „dla duszy i ciała”, czy nasi

przodkowie pracowicie przygotowując święta, wypełniając to, co nakazywały obyczaje, czy my, udając się w okresie świątecznym na Kubę, aby wygrzewać się na „kosmopolitycznych” plażach pod „kosmopolitycznym” słońcem? Dla ułatwienia odpowiedzi jedna wskazówka i jedno ostrzeżenie. Wskazówka: na podstawie doświadczeń żony wiem, że babki (no, nie takie, że trzeba je taczkami wozić) doskonale udają się na kanadyjskiej mące *Weston*. Ostrzeżenie: zaniedbując zwyczaje zaprzestajemy świętowania, tracimy konieczny dla pełni ludzkiego życia podział czasu na czas sakralny i czas powszedni, spuszczamy Lucypera z łańcucha i sami uwiązujemy się na łańcuchu nudów czasu wolnego.

---

„Słownik” opracowano na podstawie książek Hanny Szymanderskiej – pierwszej damy polskiej kuchni.

---

# Woda ledwo się marszczy



**Ryszard T. Sawicki** (*Namysłów*)

Nim wody rzeki staną się wezbrane, wypływają cicho z niewielkiego źródła. A źródło bije w dolinie, wśród spłaszczonych wierzchowin poprzecinanych wąwozami o stromych stokach. To źródło rzeki Bug. W pobliżu źródeł Bugu znajduje się też źródło

rzeki Seret. Okolice leży na europejskim dziale wodnym, na którym schodzą się dorzecza Wisły, Dniestru i Dniepru. Doliny i wzgórza są przeważnie zalesione, lecz wśród ogromnych, dzikich lasów znaleźć można ogrody zasadzone i utrzymywane przez mieszkańców tych ziem.

Źródło rzeki Bug wytryska w niewielkiej wsi Werchobuż, gdzie w sadach kwitną wiosną drzewa czereśni, a jesienią czerwienieją owoce kaliny. Kwitną dziś tak samo, jak kwitły onegdaj, kiedy okolic nie dotknęła jeszcze zagłada, którą przyniósł wiek dwudziesty. W poprzednich wiekach powstawały i zanikały rozmaite siedziby ludzkie, lecz zagłada wieku dwudziestego miała o wiele większą skalę. Skalę, której nie było równych. Kto przeżył ten okres historii, ten wydarzenia wspomina z trwogą, nawet, jeśli kiedyś dzielnie stawiał czoła przeciwnościom, nie poddawał się złu, lecz z nim walczył. Kto ich nie przeżył, ten słucha opowieści z lękiem, który tym tylko różni się od trwogi, że nawiedza w chwili, gdy zagrożenie minęło, nie czai się w czeluści dzikiej kniei. Jest daleko; rzecz by można, że zostało za siedmioma górami, siedmioma lasami. Tam, gdzie rzeka, która znalazła już spokojny bieg, odnawia się teraz w innym czasie, płynie jakby z innego źródła.

Opowieść, której wysłuchałem nie była dla mnie nowa. Była powtórzeniem tej, którą wcześniej przeczytałem. Ale czym innym jest słuchanie opowieści z ust żyjącego świadka historii, a czym

innym odczytywanie z druku lub rękopisu, choćby tekst był napisany przez tę samą osobę. Opowieści o wydarzeniach, które miały miejsce w okolicy, gdzie biją źródła Bugu, wysłuchałem z ust osoby mi bliskiej, starszej ode mnie o kilkadziesiąt lat. Wcześniej czytałem tekst, który spisała, a także mogłem porównać jej opowiadanie z opowiadaniem innych osób, byłem więc przygotowany na to, co usłyszę. Jednak słuchałem i tym razem nie bez lęku, że znów poczuję, jak w świadomość zapadają obrazy, które zapisały się w ułamkach zwierciadła, a jego ułamki, tak samo jak zapisane w nich obrazy, kaleczą i sprawiają ból. I będę musiał, jak bywało przedtem, *wyjść z oczu bolesne szkło*, o którym czytałem w tomie wojennej poezji. Wolałbym czytać taki na przykład wiersz: *Woda ledwo się marszczy i ledwo oddycha, gładka i równa, wezbrana i cicha*. I jeszcze inaczej: *O Bugu, czystych wód święty kryształ... nie pali twej wody od wierzchu do głębi spiekota w południa zacisze*. Ale powrót do tych starych wierszy sprzed kilku wieków jest trudny, bo to dwudziestowieczna poezja, nie starsza, wypływa pierwsza na powierzchnię świadomości, gdy słucha się opowieści o doświadczeniach współczesnych, żyjących jeszcze, bliskich osób. Takich, jak przyrodnia ciotka mego ojca, Maria.

Ciocia Marysia jest córką pradziadka Józefa, ale ojciec nie nazywał jej ciocią, bo jest starsza od niego tylko o trzy lata. Pradziadek Józef ożenił się po raz drugi w późnym wieku, a Marysia przyszła na świat, gdy miał sześćdziesiąt trzy lata. W

roku 2009 ojciec obchodził dziewięćdziesiąte czwarte, a Maria dziewięćdziesiąte siódme urodziny. Mimo, że jest starsza, cieszy się lepszą pamięcią od ojca. To właśnie ona spędziła najmłodsze lata w pobliżu źródeł Bugu, w leśniczówce swojego ojca, a mego pradziadka.

Nigdy nie byłem w tamtych okolicach. Przekroczyłem wprawdzie kilka razy Bug, ale nie dotarłem do źródeł rzeki. Czytam więc, by sobie rozszerzyć horyzont, *Przewodnik po Galicji* opracowany przez Orłowicza i wydany w 1914 roku. Na stronie 98 i 99 odnajduję opis pasma Woroniaków, czyli wzgórz, które *stanowią północną krawędź wyżyny podolskiej i biegną od Gołogór ku Krzemieńcowi*. Miejscowości takie, jak Biały Kamień, Podkamień, Olesko, Podhorce, Pieniaki i Huta Pieniacka leżą właśnie w pobliżu źródeł Bugu. A także rozległa wieś Gawareczyzna, na skraju której była leśniczówka pradziadka.

Wieś założona została jako osada garncarzy produkujących czarną ceramikę. Przed drugą wojną światową ludność w dalszym ciągu zajmowała się garncarstwem. Na południowym zboczu Woroniaków, nad Bugiem, około pięciu kilometrów na południowy zachód od Gawareczyzny, leży niewielkie miasto Biały Kamień z kościołem fundowanym przez Wiśniowieckich. Na wschód od miasta są ruiny zamku zbudowanego w siedemnastym wieku przez Jerzego Wiśniowieckiego, a zniszczonego przez Turków i Tatarów. Jerzy Wiśniowiecki podejmował tam Jana

Kazimierza podczas królewskiego pochodu na obleżony Zbaraż. Orłowicz podkreśla, że ze zrujnowanych murów i baszty rozciąga się piękny widok. Na północy, po drugiej stronie rozległego lasu, leży wieś Terebieże. W prostej linii na południe, po prawej stronie Bugu, wznosi się Święta Góra, a po drugiej stronie rzeki trzy inne szczyty. Na płaskim szczycie góry wytryska źródło, którego wodzie okoliczni mieszkańcy przypisywali cudowne właściwości. Pradziadek Józef najwidoczniej też wierzył w świętość góry i źródła, bo pracując wytrwale przez kilka lat zbudował z okolicznych kamieni kapliczkę i ustawił w niej małą figurkę Matki Bożej. Do tego miejsca cała rodzina chodziła często na spacer, co zostało uwiecznione na kilku ocalałych fotografiach. Najlepsza z nich przedstawia mężczyznę z długą białą brodą, młodą kobietę i dwójkę dzieci. To Józef, jego druga żona Helena, córka Marysia i syn Czesław.

Marysia, dziś dziewięćdziesięciosiedmioletnia staruszka, wspomina te spacer z rozrzewnieniem, zwłaszcza teraz, gdy do pobliskiego kościoła Jezuitów w Jarosławiu trudno jej dojść bez czyjejs pomocy.

Podczas mojej parodniowej wizyty wspominała nie tylko spacer na Świętą Górę. Długo opowiadała o nocnej wędrówce przez las latem 1918 roku. Miała wtedy pięć lat. Pewnej nocy matka zbudziła ją i brata, kazała szybko się ubrać, w czym pomagała niania, Rózia. Ubrany, ale zaspanym wciąż dzieciom, rodzice

wyjaśnili, że muszą natychmiast udać się w długą i niebezpieczną podróż. Dzieci miały się zachowywać bardzo grzecznie i cicho, zwłaszcza podczas marszu przez las. Matka wzięła ręczny bagaż, ojciec latarkę i laskę, gajowy usadowił na plecach Czesia, a Marysia znalazła się na plecach niani. Po chwili cała szóstka nocnych wędrowników opuściła dom i weszła na leśną ścieżkę. Pięcioletnia Marysia bała się, ale nie płakała. Wpatrywała się w słabe światełko latarki, którą niósł ojciec. Szedł przodem, oświetlał ścieżkę. Światełko żywego ognia migotało zza szybek latarki, raz ginęło za postacią ojca, to znów pojawiało się, a jego pojawienie się dodawało dziecku otuchy. Z głębi lasu dochodziły trzaski łamanych gałęzi, a wędrowcy nie wiedzieli, czy czai się tam zwierz, czy człowiek. Trzaski mieszały się z szelestem igliwia oraz liści rozgniatanych pod stopami idących. Gdyby miała o kilka, może kilkanaście lat więcej, Marysia umiałaby zapewne opisać wierszem te wędrówkę, tak jak umiał jej ojciec. Może byłyby to wiersze podobne do takiego na przykład utworu.

Co to za dziwne dobiegają głosy,

kiedy nad głową cała puszcza szumi i swych pokoleń  
opowiada losy.[...]

Puszcza – to wielka jest natury księga!

Niema – a mówi kto ją duchem pyta  
i kto do dziejów i natury sięga,  
z niej tylko cząstkę tajemnic odczyta.

Albo inaczej.

Przez tę ciszę twoją,  
zaklinam ciebie,  
niech mnie ukoją  
twoje szumy.

I jeszcze inaczej.

Idzie noc srebrna, zadumana,  
osnuta siecią mgieł pajęczą,  
a przed nią boru czarna ściana

zamykająca świat obręczą.

A przed nią stare szumią drzewa, sosny srebrnieją od  
księżyca,

ciepły już z dala wiatr zawiewa, pachnie jałowiec i żywica.

Noc wchodzi srebrna w bór wiekowy,

wkoło się jodły modląc chwieją, sosny zielone chylą głowy,

czar tajemniczy idzie knieją.

Tak pisali rozmaici poeci, a ojciec Marysi pisał podobne wiersze  
o podolskich jarach, o lesie. Ale o tym dowiedzieć się miała  
dopiero po latach.



Marysia nie pytała dokąd zmierzają. Wyczuwała skupienie i lęk dorosłych, sama też bała się coraz bardziej. Trzymała się kurczowo ramion niani, aż ta musiała czasem delikatnie rozluźnić jej zaciśnięte piąstki. Marsz w niczym nie przypominał spacerów na Świętą Górę, ani innych wędrówek przez las lub dnem jaru. Wędrowali długo, a dzieciom wydawało się, że wędrówka nigdy się nie skończy. Wreszcie doszli do stacji kolejowej w miejscowości Ożydów i wsiedli do pociągu jadącego do Przemyśla, po drugiej stronie Bugu. Było to pierwsze przejście Marysi przez rzekę.

O Bugu, którego głębiny nie zmierza

ni wiosło, ni śmiały bród ludzi,

ni trzoda bliskiego pasterza

swawolnym pływaniem nie brudzi [...]

jak miło się wsłuchać w twój szelest i gwary

pisał Maciej Kazimierz Sarbiewski. Zmęczonym i przerażonym wędrowcom rzeka nie była tym, czym była niegdyś, dla pasterzy i poetów, którzy opiewali pasterskie, pogodne życie. Wydać się mogła raczej rzeką, która

wszystko podzieli na wiosnę i jesień,

na zimy siwe, pory wszystkich lat. [...]

ujrzy nas i uniesie [...]

a czasem w niej westchnienie, co o oddech prosi [...]

i myją w niej krwawe dłonie ci, którzy zabili.

Późnym popołudniem zapukali do drzwi babci Marii na Zasaniu. Mieszkanie było już przepełnione, bo znaleźli w nim schronienie również inni uciekinierzy: wuj Stefan z żoną i córką w wieku

Marysi. Pobyt u babci był dla trójki dzieci okresem nieoczekiwanych, a miłych wakacji, lecz dorośli martwili się o pozostawione mienie. Nie wiedzieli, czy będą mieli do czego wracać, kiedy niebezpieczeństwo minie. Docierały do nich groźne wieści. Dowiedzieli się, że ucieczkę podjęli w ostatniej chwili, bo nazajutrz rano splądrowano leśniczówkę pozostawiając tylko ciężkie meble. Wiedzieli, że w razie gdyby zostali, ich los byłby przesądzony. Przypisywali ocalenie Opatrzności, która czuwała nad pielgrzymami do Świętej Góry.

Po powrocie przywitały ich uszkodzone, lecz własne ściany, przez okna mogli oglądać te same drzewa i krzewy. Kapliczkę znaleźli nieuszkodzoną, o czym przekonali się, gdy weszli na górę, by za ocalenie podziękować Matce Bożej. Życie potoczyło się dalej, jak toczy się rzeka, gdy minie stopnie wodospadów, a jej powierzchnia *ledwo się marszczy, gładka i równa, spokojna i cicha*. Lecz po nocnej wędrówce przez las Marysia nie od razu pozbyła się lęków. Gdy patrzyła na ścianę lasu za domem, wcale nie miała ochoty wchodzić na żadną leśną ścieżkę. Dziecinne strachy musiały ustąpić jednak przed obowiązkami szkolnymi. Marysia zaczęła chodzić do szkoły w Gawarzeczyźnie, a potem w Białym Kamieniu. Z Gawareczyzny do Białego Kamienia było nieco bliżej niż do stacji kolejowej w Ożydowie. Szło się na południowy zachód, a nie na północ, lecz także trzeba było przejść przez okoliczne lasy. Marysia nie chodziła długo do tej szkoły. Widząc każdego ranka niechęć do wyjścia z domu i

zmęczenie po każdym szkolnym dniu, rodzice zdecydowali umieścić Marysię w zakładzie Sióstr Miłosierdzia. Ale i to rozwiązanie okazało się zbyt uciążliwe dla wrażliwej i wątłej dziewczynki. Do czwartej klasy Marysia poszła w Tarnopolu, gdzie mieszkał starszy syn ojca z pierwszego małżeństwa, Bronisław. Było to dość duże miasto liczące, według Orłowicza, około trzydziestu pięciu tysięcy mieszkańców. W mieście były trzy gimnazja, szkoła realna, szkoła przemysłowa, seminarium nauczycielskie oraz kilka szkół prywatnych.

Bronisław miał dobrą pracę jako inżynier w dyrekcji kolei, zajmował z żoną ładne, obszerne mieszkanie. Jego żona miała na imię Helena. Kilka lat wcześniej stracili własne dziecko, a Helena nie mogła mieć więcej dzieci. Wydawało się, że obecność Marysi w domu stryjostwa będzie dla wszystkich błogosławieństwem, lecz zamiast opiekuńczej troski, Helena zaczęła przejawiać wrogość wobec gościa. Jedynie siostra Heleny i jej matka były dobre dla Marysi. Przychodziły w odwiedziny dość często, starały się łagodzić sytuację. Zaczęły uczyć Marysię grać na pianinie, kupowały rozmaite smakołyki, w zimie wypożyczały dla niej łyżwy i zabierały na tarnopolską ślizgawkę. Ich zabiegi okazały się jednak mało skuteczne, bo Helena miast coraz mniej, coraz bardziej dokuczała dziecku. W końcu rodzice postanowili zabrać córkę do domu, choć to wiązało się z koniecznością przedwczesnego zakończenia edukacji.

W rodzicielskim domu wszystko wyglądało po staremu. Ojciec był niezwykle gościnnym człowiekiem, zapraszał rodzinę i znajomych, przyjmował na wakacje dzieci i młodzież. Lubił żartować i rozmawiać. Marysi nie brakowało więc towarzystwa. Mimo, że przeszedł na emeryturę jako nadzorca klasztornych lasów, w związku z czym rodzina musiała opuścić obszerną leśniczówkę i zamieszkać w małej gajówce, prowadził nadal gospodarstwo na dzierzawionych od klasztoru polach. Nie robił tego sam, ale podnajmował ziemię okolicznym rolnikom, a ci dzielili się z nim plonami. Urządzał też duże festyny na rynku w Białym Kamieniu, które gromadziły tłumy uczestników z okolicznych miejscowości. Oprócz jarmarcznych gier i zabaw, sprzedawano czarną ceramikę z warsztatów gawareckich rzemieślników oraz produkty pól i lasów. Niestety, ojciec zmarł po dwunastu latach od przejścia na emeryturę, a Siostry Miłosierdzia nakazały rodzinie opuścić gajówkę w ciągu dwóch tygodni.

Śmierć ojca nastąpiła w roku, w którym kończyła się umowa dzierżawy, tak, jakby dzierżawa ziemi i życie były związane ze sobą. Jakby praca i życie były nieodłączną całością, a gdy zabrakło możliwości pracy, zabrakło też chęci do życia. Po pogrzebie znaleziono wśród papierów leśniczego długi wiersz, w którym skarżył się na los, przewidywał taki właśnie koniec swego ziemskiego bytowania. Marysia razem z matką i bratem przeniosły się w 1936 roku do Złoczowa. Było to miasto liczące,

jak nadmienia Orłowicz, trzynaście tysięcy mieszkańców. W siedemnastym wieku należało do rodziny Sobieskich. W podziemiach kościoła przekształconego w 1836 roku na cerkiew były grobowce sióstr Jana III. Podczas ostatnich wakacji na Gawareczyźnie Marysia z rodziną odwiedziły też zamek Sobieskich w Podhorcach. Zachowało się kilka fotografii z tego ostatniego spaceru po okolicy. Na jednej z nich jest wielka studnia podobna do tej, która była koło leśniczówki. Na drugiej widoczna jest grupka trzech młodych kobiet w jasnych sukienkach, za nimi stoi Marysia w ciemnej sukience. W tle kopuła kościoła świętego Józefa.



Jednak tuż po Pierwszej Wojnie Światowej obywatele miasta nie mogli cieszyć się pokojem. O tym epizodzie historycznym przypomina wydana w 1921 roku przechowana przez rodzinę broszura pod tytułem *Z krwawych dni Złoczowa 1919 roku*. Są w niej zamieszczone relacje naocznych świadków przesłuchań, więziennych tortur i egzekucji. Władysław Pieniążek, były kapitan wojsk austriackich, został aresztowany pod zarzutem zdrady stanu. Podczas przesłuchań zarzucano mu, że *na wypadek zbliżania się wojsk polskich do Złoczowa miał na czele polskiego oddziału wpaść na tyły ukraińskie*. Gdy próbował tłumaczyć, że planu takiego nie było, został zakrzyczany przez prowadzących przesłuchanie wojskowych ukraińskich (*my wże wsio znajemo*), a następnie odprowadzony do kaźni. Zastał tam, jak pisze, skatowanego wcześniej notariusza Sawickiego i innych znajomych aresztowanych pod rozmaitymi absurdalnymi zarzutami. Sąd działał szybko, a sądzeni byli pozbawieni możliwości wypowiedzi. Franciszek Jarzębski, zwrotniczy kolejowy, został aresztowany pod zarzutem przynależności do nielegalnej organizacji kolejarzy, która miała rzekomo wysadzać mosty. Jarzębski wspomina, że następnego dnia, gdy znalazł się w celi po okrutnym pobiciu, wezwano na rozprawę sądową dwudziestu współtowarzyszy. Po rozprawie wszyscy wrócili jeszcze do celi, ale około dziesiątej wieczorem wyprowadzono pięciu, a pozostali usłyszeli salwy plutonu egzekucyjnego. W więzieniu złoczowskim znalazły się też kobiety. Dozorczyni więzienia wspomina, że aresztantki, słysząc salwy plutonów

egzekucyjnych mdlały, a oficer, którego prosiły o pomoc przy cuceniu omdlałych śmiał się i twierdził, że tak będzie jeszcze przez tydzień lub dwa, więc zdążą się przyzwyczaić.



Zamek Sobieskiego w Podhorcach.

Kiedy Marysia znalazła się w Złoczowie, echa tamtych *krwawych dni* już przebrzmiały, miasto znowu tętniło życiem. Wieczorami ulice wypełniały się eleganckimi spacerowiczami, którzy czuli się bezpiecznie do późnych godzin. Już wcześniej zamieszkał w mieście starszy brat Marysi, Czesław, który był zawodowym wojskowym. Marysia zaczęła spotykać znajomych brata, nawiązywać przyjaźnie. Z grupką znajomych odbywali spacer po mieście, chodzili do kina i na koncerty. Poznała też pewnego młodego człowieka, z którym spodziewała się połączyć swe losy w przyszłości. Miał na imię Władysław, ale na kilku zachowanych

zdjęciach Marysia zapisała zdrobniałą formę imienia: Władek. Był nieco wyższy od Marysi, szczupły, miał ciemne włosy, krótko przystryżone wąsy i nosił okulary. Marysia mogła o nim pomyśleć strofami jednego z wierszy Bohdana Zaleskiego:

Wzniosły, smukły i młody,

o! nielada urody;

śliczny chłopiec – czego chcieć?

Czarny wąsik! biała płeć.

Każde słówko, co powie,

lgnie mi w sercu i w głowie.

Śliczny chłopiec – czego chcieć?

Czarny wąsik, biała płeć.

Nuciła sobie te słowa do melodii skomponowanej przez Chopina, a nazwanej *Canto Polaco* (Opus 74 nr 8).

Władek był kolegą Gienka, jednego ze złoczowskich przyjaciół,

późniejszego dowódcy oddziału Armii Krajowej, w którym znalazła się też Marysia. Na zimowym zdjęciu Gienek stoi obok Marysi w długim płaszczu z futrzanym kołnierzem, na głowie ma ciemny kapelusz. Na innym zdjęciu z wiosny 1937 roku idzie z trójką dziewcząt, z Marysią przy prawym ramieniu. Jest ubrany w ciemny garnitur, sweter i krawat. Twarze idących rozpromienia wiosenny uśmiech. Na zdjęciu z dwudziestego listopada 1938 roku Władek stoi razem z trzema mężczyznami za ławką w parku, na której przysiedli trzej inni koledzy. Mężczyźni bez towarzystwa kobiet są poważni, nie uśmiechają się.

Spokojne spacerowanie ulicami Złoczowa nie trwały jednak długo. Wszelkie plany Marysi o radosnej i spokojnej przyszłości legły w gruzach we wrześniu 1939 roku. Do miasta wkroczyły wojska sowieckie, zaczął się znowu terror. Mnożyły się aresztowania znaczących rodzin, więźniowie byli torturowani, rozstrzeliwani, a ci aresztanci, którym udało się przeżyć byli zsyłani z rodzinami na Syberię. Zamiast na skwery, koncerty i do kina, mieszkańcy chodzili codziennie na dworzec kolejowy, by sprawdzić czy podstawiono wagony z tak zwanymi *kominkami*, przeznaczone do dalekiej podróży w głąb Kraju Rad. Nie było łatwo odnaleźć krewnych i znajomych, bo grupy zesłańców liczyły zwykle po sto lub nawet dwieście osób. Na dworcu rozgrywały się dramatyczne sceny. W mieście panowały strach i rozpacz.

Marysia mieszkała sama z matką. Brat Czesław brał udział w

obronnych bitwach na Śląsku, dostał się do niemieckiej niewoli, lecz zdołał uciec i do końca wojny ukrywał się w majątku krewnych koło Jarosławia. Wiadomość o tym dotarła do rodziny dopiero po wielu miesiącach. Na początku wojny matka i siostra nie wiedziały, czy przeżył i co się z nim stało, potem drżały wciąż o jego los. Same też były zawsze przygotowane, że do drzwi ich mieszkania zapuka NKWD. W przedpokoju stał podręczny bagaż. Marysia i matka dowiadywały się raz po raz, że znajomych ubywa, że tego aresztowano, tamtego rozstrzelano, inni zostali wywiezieni lub są zagrożeni. Doczekały się tego, że do ich mieszkania zostali dokwaterowani Sowieci, zajęli pokoje, a one musiały pomieścić się w małej kuchni.

Represje rodziły opór. Młodzi mężczyźni wstępowali do Armii Krajowej. Za przykładem Gienka również Marysia złożyła przysięgę i otrzymała pseudonim Apolina. Przeszła przeszkolenie, nauczyła się posługiwać bronią krótką, długą oraz granatami. Poznała też metody konspiracyjnego porozumiewania się między poszczególnymi grupami bojowymi. Do jej obowiązków należało utrzymanie łączności między dowództwem okręgu, a komendami powiatowymi w Przemyślanach, Brodach, Krasnem, Busku, Zborowie, Złoczowie i Tarnopolu. Przewoziła rozkazy wojskowe, mapy sztabowe z oznaczonymi rejonami działań lub zrzutów, plany akcji, dokumenty personalne dotyczące awansów, odznaczeń, a także prasę konspiracyjną. Matka, wnuczka powstańca z 1863 roku, wiedziała o działalności

Marysi, ale nigdy nie oponowała. Wędrowała po województwie tarnopolskim z fałszywymi dokumentami osobistymi. Pewnego razu miała dostarczyć bardzo ważny i pilny meldunek. Aby go dowieźć na czas, musiała wsiąść do pociągu na dworcu w Złoczowie. Kiedy tam dotarła, zobaczyła, że dworzec obstawiony jest przez niemieckich żołnierzy. Gdy pociąg ruszał, szybko przebiegła przez tory i wskoczyła do pociągu. Na szczęście żaden z żołnierzy nie zareagował, a dowódca jej oddziału, który obserwował skok, mógł odetchnąć z ulgą. W listopadzie 1943 roku komendant okręgu tarnopolskiego odznaczył Marysię Krzyżem Walecznych i nadał jej stopień plutonowego. Po jakimś czasie przełożeni uznali, że należy przenieść Marysię do pracy w zaopatrzeniu. Nowa praca wymagała zdolności organizacyjnych, Marysia miała dbać o to, by grupy bojowe otrzymywały dostawy na czas. Przez ręce Marysi przepływała żywność, leki i broń.

Gdy ruszyło niemieckie natarcie na wschód, dom, w którym Marysia mieszkała z matką, znalazł się w rejonie nalotów i bombardowań, w strefie szczególnego zagrożenia. Marysia zapamiętała szczególnie jeden bombowy nalot. Pożar wybuchł w sąsiednim domu, przerażona sąsiadka przybiegła z prośbą o pomoc w ratowaniu dobytku. Wyrzucały we dwójkę przez okno, co tylko wpadło im w ręce, opróżniały szafy aż do momentu, gdy runął sufit. Uciekały w popłochu przez kuchnię ciągnąc za sobą ciężki kufer wypełniony odzieżą i pościelą. Gdy były w korytarzu, runął kolejny sufit, musiały porzucić ciężar i ratować się same.

Gdy znalazły się na zewnątrz budynku, Marysia z przerażeniem zobaczyła, że jej budynek też stanął w ogniu. Na razie palił się tylko strych, matka wyrzucała przez okna ich rzeczy. Marysia rzuciła się na pomoc, wynosiły teraz sprzęty do ogrodu. W pewnej chwili Marysia potknęła się i upadła na chodnik. Leżały tam fragmenty potłuczonego szkła, które boleśnie ją pokaleczyły. Nie było czasu ani możliwości usunąć wszystkich odłamków z głębokich ran. Skutki tych okaleczeń gnębią Marysię do dziś. Odczuwa ból, zwłaszcza, gdy wchodzi po schodach do swojego powojennego mieszkania.

Razem z sąsiadką i jej współlokatorką, wśród kłębow dymu z pogorzeliska, spędziły noc w ogrodzie. Dopiero następnego dnia poszły do miasta, by szukać schronienia. Znalazły pokój u pewnej kobiety mieszkającej samotnie w dużym domu, ale po kilku dniach przybyła tam jej rodzina, która uciekła ze swojego domu w innym mieście, więc musiały się wyprowadzić. Podczas, gdy cieszyły się ze schronienia w trzecim z kolei miejscu, nadleciały znowu samoloty. Bomby zaczęły spadać w pobliżu, ludzie wybiegli z budynku i w popłochu kryli się wśród zarośli nad rzeką. Marysia z matką zdążyły dobiec do swojego domu, który uległ wprawdzie poważnym uszkodzeniom, ale nie trawiły go już płomienie, a piwnice były tam nienaruszone. Miały dobre przeczucie. Ci, którzy pobiegli nad rzekę, źle wybrali. Wprawdzie żadna z tych osób nie zginęła, ale wszyscy zostali ranni, bo samoloty siały bomby właśnie wzdłuż rzeki.

Wkrótce po tym nalocie do miasta wkroczyły niemieckie jednostki lądowe. Podczas przemieszczania się frontu mieszkańcy starali się pozostawać w ukryciu, dopiero potem zaczęli wychodzić z piwnic i rozglądać się po okolicy. Marysia i jej matka stwierdziły, że w ich domu brakuje w oknach szyb, zawaliły się fragmenty sufitu, nadpalił się strych. Pomimo tego miały zamiar tam powrócić, ale w ogrodzie znalazły świeży grób i choć nie wiedziały, kto w nim spoczął, nie chciały mieszkać w tym „sąsiedztwie”. Dowiedziały się, że w dużej willi siostry ich sąsiadki nie ma lokatorów, bo jej mąż został rozstrzelany przez Sowieców, a ona uciekła razem z dziećmi. Sowieccy żołnierze, którzy tam stacjonowali, zniszczyli wprawdzie i zrabowali sprzęty, ale można tam było mieszkać. Wysprzątały kuchnię oraz jeden pokój i przez miesiąc mogły cieszyć się, że mają nad głową cały sufit, a nawet i dach. Willa zainteresowała jednak niemieckich okupantów i musiały się wyprowadzić. Przez całą wojnę tułały się z mieszkania do mieszkania, zagrzewając dłużej tylko w jednym miejscu. Był to niewielki dom daleko od centrum miasta, co miało tę zaletę, że żołnierze nie mieli zwyczaju tam zaglądać. Ponadto w przydomowym ogródku można było sadzić warzywa. Tam doczekały końca wojny. Gdy wojska niemieckie zaczęły się cofać, stało się jasne, że po nich przyjdą po raz drugi Sowieci. Kto ich poznał wcześniej, nie chciał doczekać ponownego spotkania. Po dziesięciu latach spędzonych w Złoczowie, Marysia i jej matka postanowiły wyruszyć znowu na Zachód, za Bug. Tym razem wiedziały, że wyruszają na zawsze.

Wiedziały, jak wiedział poeta, że trzeba się modlić tak:

Jeno wyjmij mi z tych oczu

szkło bolesne – obraz dni,

które czaszki białe toczy

przez płonące łąki krwi.

Jeno odmień czas kaleki,

zakryj groby płaszczem rzeki,

zetrzyj z włosów pył bitewny,

tych lat gniewnych,

czarny pył.

Zezwolenie na wyjazd, które Marysia zdobyła, było dla dziesięciu osób, należało więc znaleźć osiem innych osób chętnych do ewakuacji. Nie było to trudne, choć niektórzy mieszkańcy Złoczowa wciąż się wahali, co robić w tej sytuacji. Problem polegał jednak na tym, że do wagonu mogli wejść tylko

członkowie rodziny. Służby dworcowe zainteresowały się osobami zgromadzonymi przy wagonie, ujawnienie prawdziwych nazwisk wszystkich osób groziło śmiercią. Trzeba było działać szybko. Marysia wyjęła z podróznego bagażu upieczonego na drogę królika i dała urzędnikom. To na szczęście wystarczyło. Wreszcie, około piątej po południu, transport ruszył, a z nim uciekinierzy oraz ich dobytek. Ale gdy dotarli do Janowa, pociąg stanął. Okazało się, że Ukraińcy wysadzili tory. Parowóz wypadł z szyn, trzeba było sprowadzić inny i naprawić szyny. Dworzec w Janowie został też zbombardowany, ale pociąg zdołał odjechać i następnego dnia rano dojechał do Jarosławia. Na dworcu czekał brat matki Marysi, Stanisław, który kilka dni wcześniej przebył z rodziną tę samą drogę ze Złoczowa (do stacji w Złoczowie dotarł z Broszniowa, gdzie przed wojną był dyrektorem kopalni naftowej). Z Jarosławia udali się do Rożwienicy, majątku Górskich, w którym inny krewny był przed wojną zarządcą. Przywitał ich brat Marysi, Czesław, który w Rożwienicy ukrywał się od ucieczki z obozu jenieckiego.

Marysia czekała teraz już tylko na jedno spotkanie: spotkanie z tym chłopcem, którego opisywała sobie słowami Zaleskiego, w takt pieśni Chopina. Czas mijał, ale Władek, który obiecał odszukać ją zaraz po wojnie, nie zjawiał się. Wśród osób z pociągu był jednak inny młody człowiek, uciekinier z Gawareczyny, kolega Władka i Gienka z oddziału Armii Krajowej, Franek. To smutny, barczysty mężczyzna

sfotografowany na ławce w złoczowskim parku w 1938 roku. Wspomnienia i wspólna podróż zbliżyły ich do siebie. Franek odważył się poprosić Marysię o rękę i został przyjęty. Wkrótce po ślubie w kościele w Rudosławicach Marysia i Franek przenieśli się do Jarosławia, gdyż majątek rożwienicki przestał być majątkiem Górskich i przestał być dla nich domem.



W powojennym Jarosławiu życie było trudne. Nawet stali mieszkańcy nie mieli dobrych warunków mieszkaniowych, a co dopiero ci, którzy przybywali z okolic miasta. Marysia i Franek znaleźli jednak pracę i powoli zaczęli remontować przyznane

mieszkanie. Kiedy ich po raz pierwszy odwiedziłem, a było to dopiero po mojej maturze, Franek zaprowadził mnie na brzeg urwiska nad Sanem. Wskazał ręką przed siebie. – Tam jest Lwów – powiedział. Nie powiedział nic o Gawareczyźnie. Tamte wspomnienia były zbyt bolesne. Nie przypuszczałem wtedy jak bardzo. Nie wiedziałem, że szeroka, głęboka studnia przy leśniczówce pradziadków stała się grobem dla wielu mieszkańców Gawareczyny. Nocami, gdy nie mogła spać, Marysia wspominała sąsiadów, których nie ma: Bałuczyńskich, Bakusiewiczów, Bednarskich, Borodyńskich, Czosnykowskich, Garbozińskich, Jureczko, Jurkiewiczów, Kupińskich, Kutych, Kuzińskich, Leśnińskich, Łabuńskich, Manowitów, Mitulińskich, Muszyńskich, Szuszańskich i Wiślińskich.

Franek nie cieszył się dobrym zdrowiem. Życie nie rozpieszczało ułomnego chłopca z biednej rodziny, a warunki okupacji, działalność w Armii Krajowej, dodatkowo nadszarpnęły wątłe siły. Ostatnie lata przeżył w cierpieniu, wymagał intensywnej opieki, a rok po przeprowadzce do nowego mieszkania zmarł. Natomiast ukochana i dzielna matka Marysi dożyła swych setnych urodzin, a zmarła w wieku 104 lat. Marysia została sama. Żyła spokojnie, z radością przyjmowała gości. Wyjmowała czasem z szuflady w starym kredensie jeden z ocalałych wierszy ojca pod tytułem *Skarga* i czytała.

W głębokim jarze, śniegiem zawianym,  
siedzę samotny i zadumany.

Każde wspomnienie serce me smuci,  
jak było dawniej, to już nie wróci.

Nie trać nadziei,  
mówi duch przyrody,

wiosna zawita, spłyną śniegi, lody,  
a promień słońca duszę Twą ogrzeje.

Wiersz został napisany w 1907 roku, jeszcze przed ślubem z Heleną, matką Marysi. A przechowywany był w kredensie, który Józef zamówił u wędrownych cieśli. Kredens i parę innych mebli z tego samego drewna udało się uratować z pożogi wojennej. Zostały przewiezione z Gawareczyny do Złoczowa, potem ze Złoczowa do Jarosławia. Były uszkodzone, ale spełniały swoje funkcje. Ciemne drewno ze starej gruszy wyglądało elegancko, lepiej niż powojenne krzesła i sprzęt kuchenny. Kiedy zachodzące słońce wpadało przez oszklone drzwi małego

balkonu, widać było na powierzchni drewna rozmaite zadrapania. *Ale to nic* – wyjaśniała Marysia. *Na nowszym stole nie ma wprawdzie zadrapań, lecz nie widać też historii* – dodawała. Zmarła w wieku 102 lat.

Słońce, co złotem gaje powleka,  
pełne uroku jako przyjaźń człeka;  
tam zszedł błogo życia początek,  
tam jest mój luby rodzinny kątek [...]  
Pod drzewem domek dziada, pradziada,  
tam mnie na rękę nosiła matka;  
wszystko się sercu tak mile śmiało,  
wszystko, com kochał, tam pozostało,

mogłaby recytować za Wincentym Polem. Wszystko, ale nie ten kredens, ta szafa i dwie mniejsze szafki. Te stare meble przypominały Marysi pokoje w leśniczówce, starannie przecierała je co parę dni ściereczką od kurzu. W szufladach

panował wzorowy porządek. Nie było jednak na półkach ani tomiku wierszy Pola, ani tomiku z wierszem Zaleskiego. Ani broszury o Złoczowie wydanej w 1921 roku. Te książki stoją na moich półkach, to ja mam je czytać i o nich pamiętać. Jak i wiersz Słowackiego o aniołach.

Anioły stoją na rodzinnych polach  
i chcąc powitać lecą w nasze strony,  
ludzie schyleni w nędzy i niedolach  
cierniowemi się kłaniają korony,  
idą i szyki witają podrózne,  
i o miecz proszą tak jak o jałmużnę.

Rzeko z cudzoziemców strony,  
czemu nurt twój tak zmacony?

czy się gdzie zapadły brzegi,

czy stopniały stare, stare śniegi?

napisał Stefan Witwicki, autor między innymi parafrazy Mazurka Dąbrowskiego. Chopin skomponował do tych słów pieśń, która płynie przejmującymi tonami cichego lamentu. Mickiewicz cenił poezję Witkiewicza. Pisał o jednym z jego artykułów, że jest *wyborny, stylem wcale nie warszawskim, bo czystym, jasnym i mocnym*. „Smutna rzeka” Witwickiego i Chopina *śpiewa żałosne pieśń* o spotkaniach z duchami, wtóruje aniołom Słowackiego.

---

**Ryszard T. Sawicki, *W Jarze*:**

<https://www.cultureave.com/w-jarze/>